



MIĘDZY NAMI ANINIANINAMI N I E C O D Z I E N N I K

Wrzesień / Listopad ★ ISSN 1644-6356 ★ Pismo bezpłatne ★ Rok 2020 nr 4/119



fot. Jacek Wołoszka

SIELANKA - O NAS - NIE O NAS

„Ta powieść jest kreacją artystyczną, ale nikt ci nie zabroni odnaleźć w niej siebie” – zastrzega się autorka na pierwszej stronie swej nowej książki. Zważywszy, że wewnętrzna strona niezwyklej okładki – po otwarciu zamienia się w kolorowy plan jakiejś miejscowości, o której zapewne będziemy czytać, przyglądamy się uważnie ulicom i rozmieszczonym przy nich posesjom, by bez trudu znaleźć na mapce to, co utwierdza nas w przekonaniu: to Anin, mimo zmienionych nazw ulic, Anin, figurujący czasem w krzyżówkach popularnych czasopism jako „Osiedle poetów”.

Zostawiamy czytelnikom przyjemność odkrywania na mapce znanych im miejsc. Uczynią to przede wszystkim czytelnicy MNA, którzy zapewne pierwsi po książkę sięgną, jako że to pismo już w czerwcu zapowiadało ukazanie się książki M. Gutowskiej, tym razem z naszym osiedlem związaną.

Byłam zapewne jedną z pierwszych czytelniczek, która książkę wertowała i – czytała z zapartym tchem. Wertować warto, bo obok ciekawych rysunków z okładek (którym polecam przyrzeć się – obu jednocześnie, by zabawić się w grę: ZNAJDŹ RÓŻNICĘ) w tekście znalazło się sporo rysunków – GROTESKA? KARYKATURA? Nie podejmuję się określić.

Struktura powieści nie jest prosta. Narrator niby spoza powieści, tzw. wszystko wiedzący, ale we wstępie autorka komunikuje, że jest „z nas”. I to, co dzieje się we wstępie, może dopiero nastąpić... Ale kiedy?

Postaci kreuje wiele. Ich zapamiętanie ułatwia jednak spis nazwisk i zawodów. Część mieszkańców, to zasiedziali „Sielakowicze”, kilka osób jednak to znani Warszawiacy „siołki i imigranci”. Spotykają się na ulicy, na bazarku niedzielnym przy miejscowym kościele, w lokalu fryzjerki,



Małgorzata Gutowska-Adamczyk
fot. Elżbieta Moore

szumnie nazwanym „Salonem”. Nie tylko na rysunkach można odkryć pewne cechy właściwe niektórym mieszkańcom Sielanki (tej z mapki). Licznym postaciom można przypisać cechy realnie istniejących ludzi. Tyle tylko, że są one zmyślnie przemieszane, tak że nigdy nie można powiedzieć, iż jakaś osoba opisana to na pewno jedna z osób znanych czytelnikowi.

Czy książka zawiera jakieś społeczne przesłanie, co wzmacniałoby jej znaczenie? Tak, to obrona „sielankości” przed zachłannymi deweloperami. Niewątpliwie jest to troska o zachowanie unikatowości Sielanki. Ale autorka w zasadzie tej unikatowości, przyrody i uroku osiedla nie pokazuje. Na mapie tego nie widać. Jest lęk właścicieli zasiedziałyich ogrodów o utratę ziemi, jest lęk przed dziewięciopiętrowcem, lęk przed beczelnymi, prostackimi budowniczymi, którzy per fas et nefas wykupują upatrzone działki. Wiele pytań na-



suwa się przy czytaniu; sądzimy, że znajdziemy na nie odpowiedź w najbliższym, zapowiedzianym tomie. Z niecierpliwością oczekujemy dalszego ciągu tej pomysłuwo skonstruowanej opowieści.

OD REDAKCJI

Nie piszemy nic na temat koronawirusa, bo wszystkie dostępne środki przekazu pełne są o nim niewesołych informacji. Zwracamy natomiast uwagę czytelników na zagadnienie samorządności - temat wciąż powracający i ciągle aktualny.

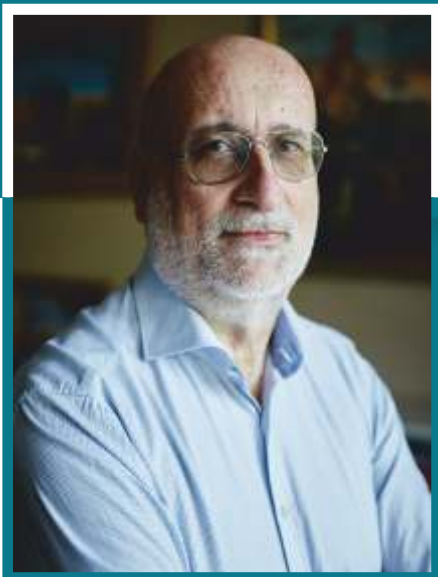
Zachęcamy do przeczytania kilku wypowiedzi o mniej poważnych sprawach - o hobby; każdy przecież ma jakiegoś „konika”.

O hobby pisze m.in. nasz znakomity współpracownik, Piotr Błędowski. Z radością przyjęliśmy wiadomość, że we wrześniu br. objął funkcję Dziekana Kolegium Ekonomiczno-Społecznego SGH w Warszawie.

Mamy dla aninian drugą, równie miłą informację - autor unikatowych opowiadań kryminalnych zamieszczanych w MNA, znany reżyser filmów i spektakli teatralnych, Wojciech Adamczyk, został dyrektorem artystycznym warszawskiego teatru „Ateneum” im. Stanisława Jaracza.

Tych z nas, którzy nie mają szerokiej wiedzy na temat atomistyki, z pewnością zainteresuje artykuł Stanisława Latka, redaktora naczelnego czasopisma „Postępy Techniki Jądrowej”, o wciąż niegasnącej nadziei na budowę w Polsce elektrowni jądrowej, za której przyczyną ma ulec poprawie stan naszego powietrza.

Zatem – czytajcie!



Piotr Błędowski

I ŻEBY DO PIERWSZEGO STARCZYŁO...

Pisanie do MNA traktuję jako nadzwyczaj przyjemne hobby. Zgodnie z sugestią Szanownej Redakcji mam napisać właśnie o hobby albo o pracy uczelni w dobie koronawirusowych utrudnień. Ponieważ należę do szczęśliwców, dla których wykonywana praca jest zarazem przyjemnością, a po części nawet hobby, spróbuję pogodzić jedno z drugim.

Hobby może pojawić się na każdym etapie życia, choć nie zawsze możemy je od razu trafnie zidentyfikować. Niektórzy mają swoje pasje już od dzieciństwa. Jak to śpiewają Fasolki? *Każdy ma jakiegoś bzika, każdy jakieś hobby ma...* Już w połowie lat 60. nieco inaczej wyraziła to Kasia Sobczyk z zespołem Czerwono-Czarni, śpiewając: *Najbardziej znane dziś osoby też mają jakieś swoje hobby* i dodając: *Nikt nie zaprzeczy: śpiew i taniec najlepsze hobby, miłe, tanie*. No nie, mój brak głosu i poczucie rytmu nie przeszkadza mi samemu, ale innym – chyba tak...

Jeszcze wcześniej Jerzy Michotek (pamiętacie?) informował: *Jedni zbierają znaczki pocztowe, inni hodują rybki za szkłem*, podczas gdy on sam zbierał uśmiechy swojej ukochanej. Też próbowałem, ale to zbiór bardzo ulotny, na dodatek łatwo pomylić pochodzenie eksponatu i wtedy zamiast uśmiechu... Tego piosenkarza trzeba uznać za bardzo konsekwentnego hobbystę, bo już w 1962 r. śpiewał: *Ty jesteś moje hobby, innymi słowy - bzik! Ach, co się robi, gdy ma się takie hobby, że tylko ty lub nikt?* Warto wspomnieć, że autorem słów tej piosenki był Jan Brzechwa. Większymi optymistami byli Janusz Gniatkowski i Katarzyna Borys śpiewający w tym samym czasie cover włoskiej piosenki: *To moje hobby, mój bzik: sto dziewcząt i jeden ja* (lub odpowiednio: *stu chłopców i jedna ja*). Aż dziw bierze, że o latach 60. w Polsce mówi się jako o okresie siermiężnym i wręcz purytańskim...

A swoją drogą – proszę zauważyć, że w trzech przywołanych tu piosenkach słowo *hobby* jest dodatkowo wzmacniane przez inne – *bzik*. Nie ma ono deprecjonować hobbystycznych zamiłowań, ale je dodatkowo podkreślać jako szczególnie ważne. Oczywiście, pozytywny wydźwięk bzika nabiera dodatkowych walorów w zetknięciu z edukacją i nauką. Natalia (a właściwie jeszcze Natałka) Kukulska śpiewała w 1988 roku: *Tabliczka mnożenia to jest moje hobby...* Można i tak, jeśli ktoś lubi matematykę. Pozostaniemy przy naukach ścisłych: mniej więcej w tym samym czasie Elżbieta Jodłowska (a w ślad za nią Barbara Kraftówna) miała *fizyczne hobby* (to tytuł piosenki), polegające na studiowaniu przyciągania ziemskiego doniczek z kwiatami – *A szczególnie ciąż spadanie wciąż frapuje mnie na nowo: „Co się z ich energią stanie, gdy się zderzą z męską głową?”*

Kazimierz Grześkowiak tłumaczył: *A jo wiecie mom te hobby, że buduję se samolot*. Dla Tadeusza Woźniakowskiego dobrym hobby było *poznać świat*, ale ponieważ piosenka została nagrana w 1967 roku, czyli za późnego Gomułki, kiedy nawet poznawanie tzw. demoludów (młodzi: zapytajcie starszych, co to było) nie należało do łatwo dostępnych przyjemności, piosenka zalecała rozwijanie tego hobby na Mazurach.

O słodkim hobby opowiadała Karin Stanek, trochę śpiewając, trochę wykrzykując: *od dzisiaj mam hobby swe, no już wiesz – czekoladowy krem!* Doprowadzającym do płaczu Danutę Rinn hobby jej miłego była gra na tubie, co z kolei usprawiedliwiała Halina Żytkowiak, tłumacząc, że *każdy coś tam pewnie ma na pechowe puste dni. Jakies hobby, płytę, psa, stary list, każdy chowa na ten czas coś, co mu pozwoli żyć*.

Te słowa Andrzeja Mogielnickiego chyba najlepiej objaśniają istotę hobby, które przenosi nas choć na chwilę w inny świat – świat pasji, poszukiwań i dociekań, na które zazwyczaj brakuje czasu, nie zawsze są rozumiane przez otoczenie, a które stają się odeskoczną od dnia codziennego i jego uciążliwości.

Tak to przynajmniej wyglądało w piosence, choć proza życia, a nawet dosłownie – proza na scenie, nie pozostawiała złudzeń. W kabarecie „Dudek” Edward Dziewoński, odpowiadając na pytanie Ireny Kwiatkowskiej o jego hobby (w wieczorze kończą-

cym historię „Dudka” w tych rolach wystąpili Bronisław Pawlik i Teresa Lipowska, mówił: *eee, takie jak wszyscy: zjeść coś ciepłego raz na dzień i żeby do pierwszego starczyło...*

Taaak... To hobby nam się powszechnie przyjęło i wielu z nas uprawia je nadal. Niekiedy zajmuje to tyle czasu, że brak go na inne zainteresowania. Dla mnie jednak wyznacznikiem hobby jest fakt, że to, czemu poświęcamy czas, emocje, a nieraz i pieniądze, przez osoby postronne może być uznane za zupełnie zbędną formę aktywności. Robimy to dla własnej przyjemności. Nieważne, czy chodzi o pudełka po zapalkach, serwetki, opakowania po czekoladach, znaczki pocztowe czy widokówki (takie przykłady zbieractwa pamiętam ze swojego otoczenia w mniej zaawansowanej młodości) czy o publikacje Instytutu Gospodarstwa Społecznego z okresu międzywojennego (to kompletuję obecnie, mając na uwadze obchodzone w tym roku 100-lecie powstania mojego Instytutu).

Skoro Instytut – to uczelnia – a jak uczelnia, to nauczyciele i studenci w nowych warunkach. Cóż, zmieniło się wiele, na pewno poza jednym – kiedy czas wykładu dobiega końca, na sali lub przy monitorach obserwuje się większą ruchliwość i niecierpliwość słuchaczy. Trzeba kończyć. Zatem do tematu powrócę przy innej okazji, w bardziej sprzyjających warunkach, na co bardzo liczę.

PS.1. Poniższy limerik ma potwierdzić, że uprawianie hobby nawet takiego jak sport (a to ponoć zdrowie) może nie jednokrotnie wiązać się z pewnymi niebezpieczeństwami:

*Zapaśnika z miasta Lidzbark
Raz uderzył mocno widz w bark:
Zaraz przyjdzie moja żona
I założy ci nelsona
A potem złamie jak nic kark!*

PS.2. W tekście wykorzystałem słowa piosenek, napisane przez J. Brzechwę, E. Chotomską, J. Dąbrowskiego, A. Kudelskiego, A. Krzewską, K. Łojana, J. Millera, A. Mogielnickiego, W. Patuszyńskiego i M. Szwea. Skecz „Hobbyści” pióra S. Tyma.

Stanisław Latek CO DALEJ Z ATOMEM W POLSCE?

fot. z archiwum St. Latka



Półtora roku temu na łamach naszego niecodziennika opublikowałem tekst pod nieco przydługim tytułem: **Kiedy wreszcie będzie w Polsce elektrownia jądrowa? czyli w pogoni za atomowym króliczkiem.**

W artykule informowałem Czytelników, że Rząd RP **28.01.2014 r.** przyjął Program Polskiej Energetyki Jądrowej (PPEJ), pierwszy kompleksowy dokument odnoszący się do energetyki jądrowej w Polsce. Zgodnie z Programem pierwszy reaktor pierwszej polskiej elektrowni jądrowej miał być uruchomiony w roku 2024!

W roku 2015 zmienił się rząd, który nałożył na ówczesnego Ministra Energii obowiązek przygotowania i przedstawienia **zaktualizowanego** harmonogramu realizacji PPEJ. Wyniki miały być przedstawione do **końca 2017 r.**

Zapytacie Państwo: i co było dalej? Ano - **PPEJ nadal nie jest zatwierdzony!**

Jednak w ostatnich tygodniach nastąpiły wydarzenia bardziej optymistyczne. Otóż 6 sierpnia 2020 r. Ministerstwo Klimatu skierowało do konsultacji publicznych projekt uchwały Rady Ministrów w sprawie aktualizacji wieloletniego *Programu polskiej energetyki jądrowej*. Uwagi do dokumentu można było zgłaszać do 21 sierpnia br. Jak podkreślają autorzy dokumentu, celem *Programu polskiej energetyki jądrowej* jest budowa w Polsce od 6 do 9 GWe zainstalowanej mocy jądrowej w oparciu o **sprawdzone, wielkoskalowe, wodne ciśnieniowe reaktory jądrowe generacji III i III+.** Od przyjęcia pierwszej wersji Programu PEJ w 2014 r. uzasadnienie do wdrożenia energetyki jądrowej nie zmieniło się. Opiera się ono na trzech filarach: **bezpieczeństwo energetyczne, klimat i środowisko, ekonomia.**

Druga optymistyczna informacja dotyczy projektu Polityki Energetycznej Państwa do roku 2040. Przedstawił go dziennikarzom 7 września minister klimatu Michał Kurtyka. Podobnie jak w PPEJ, PEP 40 przewiduje, że w roku 2033 uruchomiony zostanie pierwszy blok elektrowni jądrowej o mocy około 1-1.5 GW. Kolejne bloki będą wdrażane co 2-3 lata, a cały program jądrowy zakłada budowę 6 bloków.

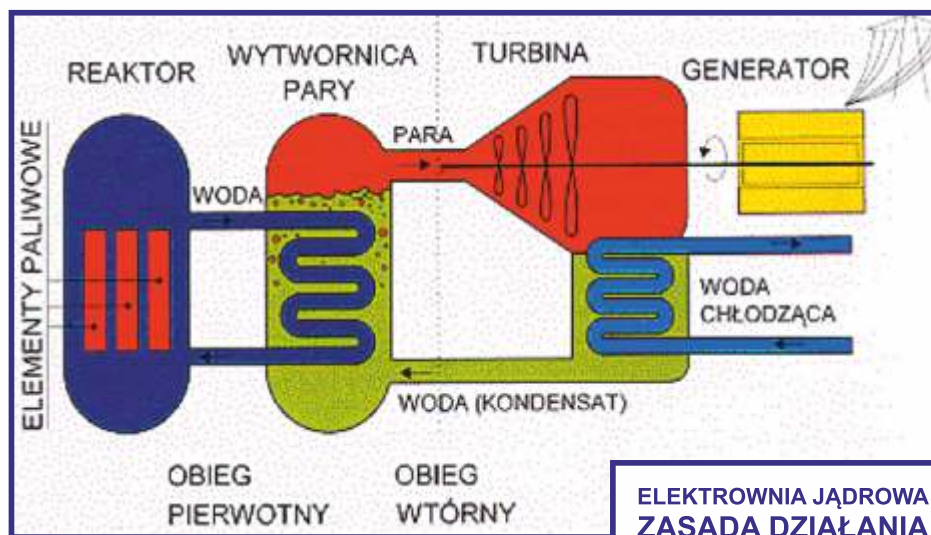
I trzecie, najnowsze wydarzenie: polski rząd przejmie firmę zajmującą się rozwojem jądrowym. Akcjonariusze PGE EJ1, spółki powołanej do budowy i eksploatacji pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce, podpisali list intencyjny ze Skarbem Państwa w sprawie nabycia 100% udziałów

w spółce. Jeśli transakcja zostanie sfinalizowana, rząd przejmie pełną kontrolę nad PGE EJ1 pod koniec roku.

W czasie gdy piszę ten tekst, czyli na początku października, Ministerstwa Klimatu w zasadzie już nie ma. Miejmy nadzieję, że Departament Energii Jądrowej nie został zlikwidowany, bo to właśnie ten departament koordynuje aktualizację PPEJ.

Elektrownia jądrowa z reaktorami typu CANDU w miejscowości Wolsong w Korei Południowej

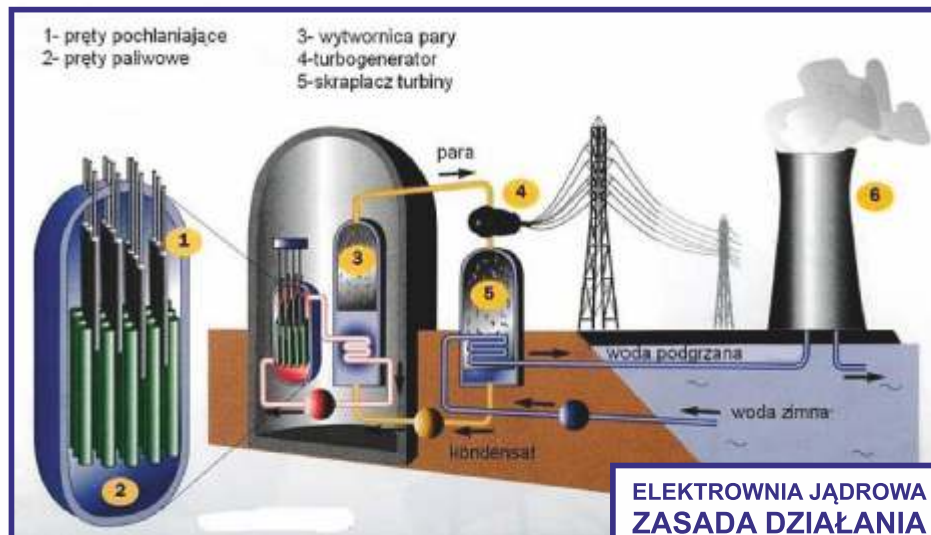
O ile mi wiadomo, uwagi do zaktualizowanego PPEJ zgłosiły placówki naukowe (ICHTJ, NCBJ, CLOR), a także niektóre stowarzyszenia (PTN, OREJ, SEREN). Uwagi wymienionych instytucji i stowarzyszeń były w niektórych przypadkach bardzo obszerne, ale ich treść nie jest udostępniona szerszej społeczności.

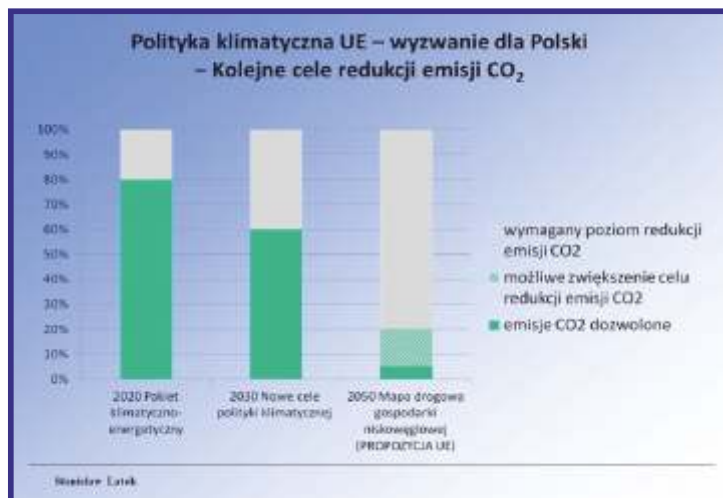


Warto poinformować Czytelników MNA, że fakt opublikowania zaktualizowanego PPEJ został odnotowany w polskich i zagranicznych mediach. Artykuły z omówieniem tego dokumentu opublikowały m.in. portale: WYSOKIENAPIĘCIE, NUCLEAR, CIRE, WNP, BIZNESALERT, a także NucNet. Tytuły doniesień w tym ostatnim medium brzmią: *Poland/New Schedule Aims for Six Nuclear Plants in Operation by 2043* oraz *Poland Updated Programme Confirms Plans For Up to 9000 MW Of New Nuclear.*

Dyskusję na temat PPEJ zorganizowała redakcja portalu WYSOKIENAPIĘCIE. 2 września na portalu napisano: "Chcielibyśmy, aby nasz portal stał się główną platformą debaty o przyszłości energetyki atomowej, zapraszamy zarówno jej zwolenników, jak i przeciwników do wzięcia udziału w dyskusji".

Jednym z aktywnych uczestników tej debaty jest prof. Akademii Górniczo-Hutniczej Ludwik Pieńkowski, który na portalu opu-





blikował dwa artykuły. Oto ich tytuły: „Dlaczego duże reaktory atomowe przechodzą do historii?” oraz „Czy małe reaktory modułowe spowodują, że energetyka atomowa wróci do łask?”

Główna teza pierwszego artykułu brzmi: „Francja, USA i Korea Południowa nie mają szans na rozwinięcie programu budowy elektrowni atomowych obecnego pokolenia. Liczenie na to, że kontrakt na budowę sześciu reaktorów w Polsce okaże się obustronnie korzystny, to mrzonki”. Profesor Pieńkowski proponuje, aby Program Polskiej Energetyki Jądrowej obejmował dwie ścieżki: budowę elektrowni z małymi reaktorami modułowymi oraz drugi scenariusz - budowę dużych reaktorów.

Po publikacji pierwszego z wymienionych artykułów polemikę opublikował

Jerzy Lipka, prezes Stowarzyszenia Obywatelski Ruch na rzecz Energetyki Jądrowej. Oto fragment tekstu J. Lipki. „Jeśli chcemy skutecznie i w sposób radykalny zmienić nasz miks energetyczny w kierunku zero emisyjności, a energię chcemy mieć po akceptowalnych dla społeczeństwa cenach, nie ma co czekać na małe reaktory modułowe. Będą one owszem atrakcyjne dla prywatnego biznesu (...) A tymczasem Państwo Polskie winno działać szybko i zabrać się na poważnie za wdrażanie energetyki jądrowej w naszym kraju. Tej sprawdzonej, wielkoskalowej, pozwalającej od razu zastąpić znaczącą ilość energetycznego złomu, jaki w dużej mierze stanowią nasze najstarsze bloki opalane węglem. Małe reaktory modułowe nie pozwolą nam szybko zmienić - przy obowiązujących procedurach - pol-

skiego miksu, co jest dla nas jako kraju i społeczeństwa sprawą kluczową”.

Także prof. Andrzej Strupczewski opowiada się za budową dużych reaktorów. Swoją opinię, ze współautorem Łukaszem Koszikiem, zatytułował: „Duże elektrownie jądrowe to wciąż fila energetyki”.

Jaka jest więc odpowiedź na pytanie będące tytułem tego tekstu?

Jest chyba wreszcie jakaś szansa na przyjęcie przez Radę Ministrów znowelizowanego Programu Polskiej Energetyki Jądrowej i rozpoczęcie jego realizacji. Tylko szansa, bo wciąż nie ma pewności, że Polska będzie wkrótce budować reaktory energetyczne.

Ksenia Zimna

DROGA DO SAMORZĄDNOŚCI

Samorządność znaczy prawie tyle co wolność. Próbuje od wielu lat wprowadzić ją w życie na wielu odcinkach. Uczymy się decydować wspólnie, sami o sobie - w bloku, osiedlu, dzielnicy. Ale jesteśmy ludźmi, często więc zapominamy, że samorządność nie jest jednoznaczna z samowolą. Konieczność uwzględniania potrzeb innych ludzi, dogadywania się z oponentami, rezygnowania z egoistycznych pragnień, to sztuka niesłychanie trudna, droga najeżona konfliktami, ustępstwami, często kończąca się rozgoryczeniem, rozczarowaniem.

Bywa, że po pokonaniu wewnętrznych sporów grupka dobrze dogadujących się ludzi potyka się o ustalenia wyższego rzędu. Przepisy, regulacje i... kłapa z marzeń.

Tak więc często „usychają” samorządy osiedli, odchodzą z nich wartościowi i zaangażowani działacze rozczarowani trudnościami nie do pokonania.

Rada Osiedla w Aninie

Jej przewodniczącym jest Lech Pajchel, świetnie przygotowany do tej funkcji, jako że działał społecznie na terenie Wawra, gdy ten był jeszcze gminą. Jak wyznał - do zawieszenia działalności przed laty

zmusiło go podjęcie nowej pracy związanej z częstymi i długimi wyjazdami.

Lech Pajchel: *Powróciłem do Rady Osiedla, kiedy przewodniczył jej jeszcze Janusz Gałda. Pracowałem w zespole zajmującym się sprawami związanymi z Budżetem Partycypacyjnym. Janusz Gałda gospodarzył w Aninie aż dwie kadencje, zostawiając po sobie dobrą pamięć jako człowiek oddany powierzonym mu sprawom.*

Problemów do rozwiązania było wiele m.in.: komunikacji czy ochrony unikatowej, anińskiej przyrody. Janusz Gałda interweniował we wszystkich sprawach, z którymi zwracali się do niego mieszkańcy Aniny. Jego zasługą jest także upamiętnienie ważnych dla polskiej historii ludzi związanych z naszym osiedlem. Rosną „dęby pamięci” sadzone ku ich czci.

Rada Dzielnicy zaproponowała radom osiedlowym powołanie komisji problemowych na wzór tych, które działają w Dzielnicy. W Aninie, przy zaledwie dziewięcioosobowym zespole, nie było to możliwe do zrealizowania.

Dobrze układa się współpraca Rady z Biurem Bezpieczeństwa i Zarządzania Kryzysowego. Udało się zapewnić comiesięczne ponadnormatywne kontrole ulic przez patrole policyjne.

Rada dąży do założenia monitoringu przy ul. Kajki. Byłaby to spełnienie jednego z postulatów zgłaszanych przez mieszkańców.

Obecna konstrukcja przepisów związanych z Budżetem Obywatelskim uniemożliwia, niestety, realizację wielu innych projektów zgłaszanych do Rady przez aninian.

Rada, mimo panujących obostrzeń związanych z pandemią, kontynuuje w miarę możliwości, swoje działania. Anińscy radni spotykają się, zapraszają na swe obrady przedstawicieli Rady Dzielnicy. Bardzo chętnie współpracuje z anińską radą architekt Piotr Grzegorzczak.

Plany na przyszłość działania były duże: wyprzedaże garażowe, sąsiedzkie spotkania tematyczne, współpraca z placówkami kulturalnymi i oświatowymi.

Wszystko przed nami.

PS. Rada podjęła uchwałę w sprawie przystąpienia do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego obszaru osiedla Anin. Treść uchwały oraz jej uzasadnienie znajdziecie Państwo na naszym blogu: aninski.blogspot.com



foto. z archiwum Marcina Świąćickiego

O SAMORZĄDZIE...

W roku 2020 obchodzimy 30-lecie samorządności w niezależnej Polsce. Z tej okazji przedstawiamy Państwu wywiad z Marcinem Świąćickim, posłem na Sejm X, II, VII i VIII kadencji oraz prezydentem miasta stołecznego Warszawy w latach 1994–1999, który zechciał odpowiedzieć na zadane przez redakcję MNA pytania:

Panie Prezydencie, ma Pan bardzo bogaty życiorys, ale chcielibyśmy skupić się na problemach związanych z samorządnością. Czy młodszym czytelnikom, mógłby Pan przypomnieć, czym różnił się ustrój Warszawy z czasów Pana prezydentury od obecnego?

Ustrój Warszawy w latach 1994–2002 był dużo bardziej zdecentralizowany, bliżej ludzi, bo Warszawa składała się z 11 gmin, które miały własną podmiotowość, same uchwałyły swoje budżety, plany zagospodarowania przestrzennego, kontrolowały w pełni swój majątek jak każda inna gmina w Polsce. Największą była gmina Centrum, obejmująca 1/3 dzisiejszej stolicy, mniej więcej teren przedwojennej Warszawy i blisko 3/5 ludności miasta. Jedną z pozostałych 10 gmin był Wawer. Ponadto istniał dwunasty podmiot prawny – m.st. Warszawa, którą tworzył obligatoryjny związek 11 gmin warszawskich. Burmistrz gminy Centrum zostawał z mocy ustawy prezydentem Warszawy. Niedostatek ustawy z 1994 r., metropolitalnej, jak ją nazywano, polegał na założeniu, że gminy dobrowolnie powołają związki komunalne dla wspólnych usług: transportu miejskiego, usług wodno-kanalizacyjnych, itp. Tego nie udało się przeprowadzić i dlatego w 1997 r. zaproponowałem parlamentowi niewielkie poprawki do ustawy, uzgodniłem je ze wszystkimi burmistrzami gmin warszawskich, z bardzo

różnych ugrupowań politycznych. Niestety parlamentarzyści, znani samorządowcy, którzy obiecali przeprowadzić to jako inicjatywę senatu, przestraszyli się oporu Rady Warszawy, która prowadziła wojny z radami gmin, kto ważniejszy, w związku z czym miała być zastąpiona zgromadzeniem delegatów gmin warszawskich, i sprawa upadła. W 2002 roku przyjęto ustawę likwidującą gminy warszawskie wbrew ich powszechnym protestom wyrażanym w referendum mieszkańców i uchwałach rad. Mimo wielu kompetencji przekazanym dzielnicom za rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz i Rafała Trzaskowskiego nie mogą one mieć tej samodzielności, jaką ustawowo dysponują tylko gminy.

Jak ocenia Pan tę zmianę?

Oceniam, że była niekorzystna. Ubezwołała rady lokalne, wydłużyła procesy decyzyjne, scentralizowała odpowiedzialność, zahamowała możliwość dobrowolnego przyłączania się do Warszawy innych gmin z terenu obszaru metropolitalnego, umożliwia patologiczną recentralizację w każdej chwili, co się zdarzało w przeszłości.

Czy podjęcie się zadania zostania prezydentem stolicy było trudną, czy łatwą decyzją?

Lubię nowe wyzwania i wolę pracę wykonawczą niż parlamentarną. W rządzeniu wielkim miastem przydaje się doświadczenie ekonomiczne, prawne, znajomość świata, umiejętność słuchania ekspertów i zwykłych mieszkańców, najrozmaitszych interesantów. Oczywiście ostrzegano mnie, że będę oskarżany o wszelkie afery, awarie, braki, a żadnych pochwał nie będzie. Pani Wyganowska, żona mojego poprzednika, śp. Stanisława Wyganowskiego, pierwszego prezydenta Warszawy w odrodzonym samorządzie, radziła mi: „Panie Marcinie, a prasy to niech Pan nie czyta”. Jej mężowi przypisywano rzekome związki z jakąś mafią taksówkową. Już później Jan Maria Rokita radził się mnie, czy warto kandydować na prezydenta Krakowa zamiast się dzieć w ławach opozycji w sejmie. Mówiłem mu, że warto, ale on miał obawy, bo, jak zauważył, bycie prezydentem dużego miasta, to sprawy prokuratorskie pewne. W dużym mieście każdego dnia wybucha jakiś kryzys i trzeba kochać swoją pracę, aby się tego nie bać i rozwiązywać kryzysy w imię społecznego interesu i w dialogu z mieszkańcami.

Jakie najprzyjemniejsze i najmniej przyjemne wydarzenie z czasów prezydentury najbardziej zapadło Panu w pamięć?

Otwarcie pierwszej w Warszawie i w Polsce linii metra, choć jego budowę zajmowali się poprzednicy. Rozpoczęcie budowy mostu Świętokrzyskiego, porozumienie w sprawie mostu Siekierskiego. Wielkim prze-

życiem była niewątpliwie odbyta pod moim przewodnictwem „pielgrzymka” warszawskiego samorządu do Watykanu w 1996 roku w celu wręczenia Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II tytułu Honorowego Obywatela Warszawy w rocznicę 400-lecia przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy. Wspominam historyczną wizytę Prezydenta Clintona, który przyjechał do Warszawy, aby na spotkaniu z ludem stolicy, które organizowałem, zaprosić Polskę do NATO. Nieprzyjemne rzeczy zdarzały się, ale nie będę ich wspominał.

Co sprawiło Panu największą satysfakcję podczas pięcioletniej kadencji?

Wysyp inwestycji w Warszawie. Za mojego poprzednika, według jego określenia, „inwestorzy krążyli nad Warszawą, ale bali się lądować”. Za mojej prezydentury wylądowali, powstały dziesiątki nowoczesnych centrów biznesowych, handlowych, hoteli, osiedli mieszkaniowych. Jeden ze współpracowników powiedział mi, że brakuje dźwigów w Warszawie. Kiedy powtórzyłem to na konferencji prasowej, „Gazeta Wyborcza” postanowiła to sprawdzić i rzeczywiście wolnego dźwigu nie znaleźli. Wiele inicjatyw realizowały gminy oddolnie, powstało np. z 10 nowych pływalni, nowe domy kultury, szkoły, ratusze, wyremontowano dziesiątki kilometrów ulic, z pomocą miasta powstało kilkanaście ważnych pomników, które upamiętniały wydarzenia, instytucje i osoby skazane na niebyt w PRL-u. Mam na myśli m.in. dwa pomniki marszałka Piłsudskiego, pomnik AK i Polskiego Państwa Podziemnego, pomnik Polegli i Pomordowani na Wschodzie. Oczywiście na szczelbu ogólnomiejskim kontynuowaliśmy budowę metra, obwodnicy, zakupy nowoczesnego taboru; przygotowaliśmy budowę oczyszczalni ścieków Południe i pierwszą w Polsce spalarnię śmieci.

Z jakich dokonań jest Pan dumny, a co się Panu nie udało?

Dumny jestem z rozpoczęcia budowy mostu Świętokrzyskiego i przygotowania Siekierskiego, olbrzymiej skali nowoczesnego budownictwa w Warszawie, w której więcej wówczas budowano niż w Pradze czy Budapeszcie, metra, remontu Nowego Świata. Nie udało się zagospodarować Placu Defilad wobec poszatowania tej najbardziej atrakcyjnej lokalizacji w Polsce dziesiątkami roszczeń repywatyzacyjnych. Brak ustawy repywatyzacyjnej nadal blokuje inwestycje w wielu miejscach Warszawy. Nie udało się zbudować Rodzinnego Parku Rozrywki, nie dlatego, że jego inicjator, Michael Jackson, okazał się w końcu kontrowersyjną postacią, ale z powodu odmowy wicepremiera z konkurencyjnej partii przekazania miastu lotniska na Bemowie, bardzo słabo wykorzystywanego. Na naradzie przez niego zorganizowanej jeden z jego współpracowników, minister, argumento-

wał, że Bemowo będzie zapasowym lotniskiem dla Warszawy, jeśli terroryści dokonają atomowego ataku na Okęcie. Takie brednie padały w politycznym zacie trzewieniu, żeby tylko konkurenci nie mieli sukcesu. Niestety inne tereny publiczne nie miały tak dobrej lokalizacji jak Bemowo, a wykup prywatnych działek byłby zbyt kosztowny i ryzykowny dla partnerów miasta. Nie udało mi się zbudować Muzeum Powstania Warszawskiego. Bardzo dbałem o sprawy kombatanów i miałem z nimi doskonale relacje, nagradzali mnie na wyrost honorowymi tytułami, ale w sprawie muzeum Powstania nie dałem rady. Tuż przed rozpoczęciem mojej prezydentury porozumienie z jednym z inwestorów w sprawie budowy na ul. Bielańskiej muzeum Powstania zawarł wojewoda warszawski, a miasto miało jedynie zabezpieczyć wyposażenie wnętrza. Niestety po trzech latach inwestor nie wywiązał się ze zobowiązania. Chciałem zmienić lokalizację na Pałac Saski, ale zabrakło w Radzie Warszawy 2 głosów, bo radni prawicy się nie zgodzili, gdyż przeszkadzał im prywatny sektor, który miał uczestniczyć w odbudowie Pałacu, i tak nie zdążyłem przejąć i dokończyć sprawy. Ale w sumie uważam, że dobrze się skończyło. Obecne miejsce w byłej elektrowni tramwajowej z dużym własnym placem jest dla Muzeum optymalne.

Proszę opowiedzieć o najciekawszej inicjatywie społecznej z czasów Pana prezydentury.

Były dziesiątki inicjatyw i trudno wybrać jedną. Wspomnę inicjatywę Stowarzyszenia ŻIH budowy Muzeum Historii Żydów Polskich. Podpisałem umowę ze Stowarzyszeniem o przekazaniu działki pod budowę i założyłem Społeczny Komitet Wspierania Budowy Muzeum. Muzeum budowane przez następców, w tym śp. Lecha Kaczńskiego, okazało się olbrzymim sukcesem na skalę światową. Większość pomników powstała z inicjatywy oddolnych komitetów. Nie zapomnę wizyty śp. Wojciecha Ziemińskiego, który zgłosił się z prośbą o wsparcie budowy Pomnika Poległym i Pomordowanym na Wschodzie. Oczywiście miasto znalazło miejsce na ten pomnik i pomogło go sfinansować, a Ziemiński, jako przewodniczący Komitetu budowy, poprosił mnie o odsłonięcie i przemówienie. A przecież politycznie byliśmy chyba na antypodach. Ziemiński skarżył mi się na swoich kolegów, którzy mieli do niego pretensje, że mi rękę podawał. Z innej beczki. Wspominam Masę Rowerową, liczącą wtedy zaledwie kilkudziesięciu rowerzystów (dziś są ich tysiące), którzy przyjechali pod ratusz i zażądali budowy ścieżek rowerowych. Wytyczyliśmy plan budowy 700 km ścieżek w Warszawie, dopilnowałem, aby uwzględniono ścieżki

przy projektowaniu i budowie Trasy Siekierskiej, mostu Świętokrzyskiego i innych większych inwestycjach drogowych. Nie trzeba samemu wszystkiego wymyślać, wystarczy być otwartym na sensowne inicjatywy oddolne niezależnie od tego, kto je zgłasza. Władza jest dla obywateli, a nie dla partii, która polityka wystawiła.

Z Pańskiej perspektywy jak na przestrzeni lat zmieniły się samorządy w Polsce?

Polska miała duże szczęście, że premier Tadeusz Mazowiecki do przygotowania reformy samorządowej wyznaczył nie polityka, nie zasłużonego dysydenta czy kolegę z redakcji, ale najlepszego eksperta, który się tą sprawą zajmował jeszcze w czasach PRL-u w ramach opozycji demokratycznej. Mam na myśli profesora Jerzego Regulskiego. To, co profesor razem z małą grupą ekspertów przygotował, rada ministrów w ciemno przyjmowała, a sejm i senat akceptowały. Część ustaw w porozumieniu z Regulskim inicjował w senacie Jerzy Stępień. Dlatego w odróżnieniu od innych krajów wychodzących z komunizmu Polska od razu miała na podstawowym gminnym szczeblu samorząd pełnokrwisty: z własnymi kompetencjami, finansami, majątkiem komunalnym i oczywiście władzami. Samorządowe powiaty i województwa wprowadzone w 1998 roku, przy wybitnym udziale Michała Kuleszy, już tylko powtarzały reguły, które się znakomicie sprawdziły na szczeblu gminnym. Mamy dobrze zabezpieczone prawa samorządu w Konstytucji, ale niestety nie zawsze są one respektowane, a ich egzekwowanie via Trybunał Konstytucyjny jest żmudne, a dziś nawet mało realne po daleko idącym upolitycznieniu tej instytucji. Samorząd obciąża się nowymi zadaniami, ale nie zwiększa udziału samorządu w finansach publicznych. Zaczyna się centralizować niektóre kompetencje należne samorządowi zgodnie z zasadą pomocniczości zapisaną w preambule Konstytucji, stanowiącej integralną część ustawy zasadniczej, a więc obowiązującej na równi z jej artykułami. Potrzebne są rozwiązania metropolitalne dla obszarów metropolitalnych związanych funkcjonalnie, ale podzielonych na liczne gminy i powiaty. Niestety inaczej niż za Mazowieckiego propozycje i decyzje w tych sprawach są często podporządkowane bieżącym interesom politycznym, a nie sprawnemu funkcjonowaniu samorządowych wspólnot.

Samorządowi ufa 74 % Polaków – więcej niż prezydentowi, czy rządowi. Nie zawsze tak było. Co wpływa na takie postrzeganie samorządów przez Polaków?

Samorząd bardzo skraca dystans między decydentami a mieszkańcami. Rezultaty działań władz samorządowych dotyczą lokalnych spraw; każdy od razu widzi, co władza robi dobrze a co źle, odczuwa to

na własnej skórze, mniej ważne są polityczne barwy, a ważna jest skuteczność w rozwiązywaniu lokalnych bolączek. Dlatego wielu wójtów, burmistrzów a nawet prezydentów dużych miast cieszy się dobrą opinią, zaufaniem mieszkańców i może rządzić bez partyjnej legitymacji. W ostatnich wyborach wielu partyjnych kandydatów przegrało już w pierwszej turze i partie mogły już tylko popierać najbliższego im kandydata, często bezpartyjnego lub uciekiniera z jej szeregów. W Polsce warto upowszechnić rzetelne, konkurencyjne wewnątrzpartyjne prawdy kandydatów na radnych, burmistrzów, posłów, prezydentów. Ustalanie list przez wierchuszkę partyjną i ich przyklepywanie przez rady partyjne zwiększa szanse zasłużonych dla partyjnej władzy, ale mało popularnych, a czasem po prostu słabych kandydatów. Wierzę w oddolną demokrację wewnątrzpartyjną.

Mamy, niestety, czas pandemii. Jak według Pana samorządy radzą sobie w tym trudnym okresie?

Nie wiem. Od października 2019 pracuję w Ukrainie jako Rzecznik Praw Przedsiębiorców, a do Warszawy przyjeżdżam tylko na weekendy. Przez pierwsze cztery miesiące pandemii w ogóle nie mogłem się ruszyć z Kijowa. Sądzę jedynie, że po 30 latach doświadczeń można ufać samorządom, że są odpowiedzialne, w bliskim dialogu z mieszkańcami, szkołami, rodzinami, chorymi itd., więc lepiej sobie poradzą ze wszystkimi wyzwaniem, które można decentralizować.

Dziękujemy za rozmowę, za to, że znalazł Pan czas, by podzielić się z nami swoimi wspomnieniami i spostrzeżeniami.

Pani Jolancie Koczorowskiej dziękujemy za umożliwienie zadania pytań prezydentowi Marcinowi Świąćickiemu oraz przekazanie redakcji uzyskanych materiałów.



HOBBY, PASJA, KOLEKCJONERSTWO? Teresa Szymczak

Co właściwie ma być tematem tekstu? Wędrując przez dwadzieścia lat po różnych anińskich domach, natknęłam się na dwie osoby, które nazwać mogę kolekcjonerami. W ich domach zobaczyłam specjalne regały, witryny, stoły, na których swe miejsce miały prawdziwe porcelanowe skarby. Właściciele ich wiele gotowi byli poświęcić, by zdobyć upragniony, wymarzony eksponat. Rezultat podobnego zbieractwa, będący jednocześnie pasją całego życia moich przyjaciół z młodości, wylądował w Zamku Królewskim. Lęk przed kradzieżą, przed uszkodzeniem naczyń porcelanowych bardzo utrudniał im życie - poznałam to, goszcząc u nich kilkakrotnie. To kolekcjonerstwo mogę nazwać pasją życia ukoronowaną obecnym miejscem prezentowania kolekcji.

Rozważam zatem - moje gromadzone i pokazywane sowy - to pasja, czy zbieractwo? Dom mój „zasowiony” (lecz nie smutny). Znalazło w nim schronienie kilkaset sów różnej maści i z bardzo różnych tworzyw, poutykane po szufladach, stołach i witrynach. Jedne są piękne, misterne, inne wręcz paskudne. Łączy je jedna cecha: wszystkie są symbolem ludzi, którzy mi je podarowali. Bo ani jedna z nich nie została kupiona przeze mnie... są darami przyjaźni.

Kolekcję zainicjował mój bliski przyjaciel, Włodek Z., wręczając mi z okazji urodzin malutką, glinianą sówkę. Nie stać go było na drogi prezent, jako że był początkującym pracownikiem naukowym, a wiadomo, jak zarabiają młodzi naukowcy - wtedy i teraz. Ważne były słowa wypowiedziane: „Ta sowa jest wg mnie twoim symbolem, jesteś mądrą kobietą”... A miałam wtedy 26 lat. Mądra? Piękne pochlebstwo. Pomysł podchwycili inni znajomi, jako że książki nie ryzykowali podarować, by nie była duplikatem u mnie.

I tak - pełno u mnie reprezentantów moich bliskich i dalszych znajomych, skrywanych pod skrzydłami podarowanych sów.

A pasja moja? Oczywiście, nie mylcie się! To książki, które opanowały moje życie, są najbliższymi przyjaciółmi, zwłaszcza teraz. Książki, których już ani skatalogować, ani policzyć nie zdołam, do których uciekam w zdrowiu i chorobie.

I których losem się zamartwiam...

*Ośmiokątny Rosenthal - ulubiona filiżanka M. Gutowskiej-Adamczyk
fot. M. Gutowska-Adamczyk*

NA GRZYBY Agata Gładkowska

Najlepiej wybrać się wcześniej rano albo w dzień powszedni i zaszyć się w mało uczęszczanych chaszczach. W lesie nie ma wtedy ludzi, ale na pewno nie jest pusto, jak chciałam najpierw odruchowo napisać. Wręcz przeciwnie – pełno w nim życia. Nawet w podmiejskich wawerskich lasach często spotykam lisy, dziki, sarny, łosie. Kuny, myszy, wiewiórki, jeże i oczywiście rozmaite ptaki są z kolei gośćmi mojego ogródka. Plączę się po lesie wiele godzin w tygodniu, słowo „spaceruję” niezbyt tu pasuje - wążsam się bez celu albo zbieram pokrzywę, liście mniszka, jagody, jeżyny, a często inne rośliny, które nadają się do jedzenia, i oczywiście grzyby. Może odzywa się we mnie pierwotna natura paleolitycznego człowieka – zbieracza. Do tego dochodzą nostalgiczne wspomnienia o grzybobraniach z dzieciństwa z moją babcią i ciocią. Żadne inne zajęcie nie daje mi tyle odpoczynku i całkowitego oderwania od codziennych spraw. Kiedy chodzę po lesie, zapominam nawet o swoim istnieniu.

Po latach mieszkania Międzyzlesiu mam już swoje grzybowe miejsca – wiem, gdzie i kiedy pojawiają się prawdziwki, maślaki, kurki. Najbardziej lubię zbierać opieńkę ciemną – w październiku każdego roku jest taki wysyp tego gatunku, że po godzinie ma się jej całe kilogramy. Z wielką satysfakcją dowiedziałam się, że właśnie opieńka ciemna rosnąca w stanie Oregon została rekordzistką – jest żywym organizmem na ziemi zajmującym największą powierzchnię - 8,9 km², rozrasta się tam od 2 400 lat. Mowa oczywiście o całej grzybnii, a nie pojedynczym owocniku.

Grzyby są fascynujące. Nie są ani roślinami, ani zwierzętami – tworzą osobne królestwo. Szacuje się, że przynajmniej dziesiątki tysięcy ich gatunków nie zostały jeszcze odkryte i sklasyfikowane. Bez grzybów nie byłoby życia w lasach. Rozkładają materię organiczną z martwych pni i gałęzi, tworzą glebę, czasami wchodzą z drzewami w symbiozę – pomagają im zaopatrywać się w składniki odżywcze, a nawet, jak dowiedziałam się z książki Petera Wohllebena *Sekretne życie drzew*, ułatwiają komunikację między nimi.

Jednak nie jestem mykologiem, tylko grzybiarzem amatorem. Z prawdziwą pasją zbieram grzyby, a jeszcze bardziej lubię je fotografować. Najczęściej nie te jadalne, tylko rozmaite narośla na drzewach, „psiaki”, pleśnie. Kształty owocników bywają niezwykle: oprócz typowych z trzonkiem i kapeluszem są również kule, falbanki, worki, poplątane strzępki, nacieki, miseczki, wyrostki itp. Podobnie jest z kolorami – oprócz całej gamy bieli, beżu, brązów, szarości można spotkać grzyby wściekle, wręcz odbłaskowo pomarańczowe albo żółte, fioletowe, srebrne, czerwone. Bardzo ciekawy jest również świat mchów i porostów, ale już nie tak bardzo różnicowany.

Kiedy mam już swój zbiór sfotografowanych grzybów, czas na pracę godną detektywa. Co to za gatunki? Atlasy grzybów zawierają zazwyczaj opisy kilkudziesięciu – tych najbardziej popularnych. Przetrząsam więc internet, strony polskie i obcojęzyczne, fora miłośników grzybów w poszukiwaniu podobnych okazów. Często bez powodzenia. Dużo łatwiej jest z roślinami – polecam np. *Wirtualny atlas roślin*, gdzie wystarczy wgrać zrobione przez siebie zdjęcie i z łatwością zidentyfikować gatunek. Być może mykology obawiają się, że amatorzy posługując się podobnym atlasem grzybów, uznaliby go za wystarczający dowód, że zebrany przez nich egzemplarz jest jadalny. Staram się zawsze zrobić kilka różnych ujęć moich znalezisk, żeby ułatwić sobie identyfikację. Niektóre ludowe albo nadane przez naukowców nazwy grzybów to prawdziwa poezja, choćby takie: twardzioszek przydrożny, rycerzyk czerwonozłoty, smolucha pomarszczona. Doskonale nadają się do analizy słotwórczej na lekcjach polskiego. I tak moje zainteresowania polonistyczne łączą się z grzybiarskim hobby.



KOLEKCJA FILIZANEK Małgorzata Gutowska-Adamczyk

Kupując mi pierwszą filiżankę celem upamiętnienia którejś z moich książkowych premier, mój mąż nie podejrzewał, że zasiał we mnie ziarno zbieractwa. Zresztą długo jeszcze nie zapaściło ono korzeni. Raz do roku wydawałam książkę i świętowałam ten fakt, wypijając herbatę z nowej filiżanki od męża. Długo jednak moją ulubioną filiżanką była ta pierwsza, raczej kawowa, wyprodukowana przez firmę Wedgwood.

Filiżanek przybywało, ale ja nie czułam się kolekcjonerką. Aż w 2010, może w 2011 roku przy Marysińskiej w Aninie otworzył swój sklep antykwariusz. Wpadałam do niego obejrzeć oferowane przedmioty i jakoś od pierwszego razu zaczęłam kupować filiżanki. Najpierw dwie maciupieńkie ośmiokątne mokki Rosenthala, które mnie wzruszyły. Trochę wstyd, ale aż do wtedy nie wiedziałam, że mokkę pije się w takich maleńkich filiżankach. Do dziś pamiętam, że dwie kupiłam za osiemdziesiąt złotych i niemal natychmiast pobiegłam do domu, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tych cudёнkach i – być może – dokupić inne.

Tak urodziła się moja pasja kolekcjonerska, a ja przepadałam. Jednak początkowo kupowałam wszystko bez ładu i składu. Każda filiżanka, która była mokką i mi się spodobała, miała szansę stanąć obok tych pierwszych. Zaczęłam przeglądać serwisy aukcyjne, zwłaszcza Allegro i Ebay w poszukiwaniu kolejnych obiektów, zamawiać z okazji świąt czy urodzin. Zaczęłam też gromadzić książki o porcelanie i sygnaturach różnych wytwórni, jednak dopiero kupno książki „1001 filiżanek do mokki” Renate Czotzki sprawiło, że miałam podstawy „naukowe” i zdecydowałam się oddać moje serce Rosenthalowi.

Kiedy czasem oglądam XIX-wieczne filiżanki na serwisach aukcyjnych, trochę żałuję, że nie zainteresowałam się porcelaną angielską czy francuską lub austriacką bądź czeską, która również jest piękna. Zdarzało mi się kupić filiżankę z każdego z tych krajów, jednak aby kolekcja była kolekcją, musi mieć jakąś myśl przewodnią i tą myślą jest u mnie Rosenthal, a zwłaszcza jego filiżanki w stylu Art Déco. Ich kształty i ornamentyka najbardziej do mnie przemawia. Wielkim plusem Rosenthala jest też to, że te filiżanki są znacznie tańsze niż chociażby Miśnia, KPM Berlin czy Nymphenburg z tychże Niemiec.

Mogę powiedzieć, że przez te kilka lat wiele się nauczyłam o porcelanie i jej wytwórcach, poznaję ich styl, patrząc na produkty, mam jakieś wyobrażenie o rynku i cenach. Zaś filiżanki spoza kolekcji zasilały rozmaite aukcje charytatywne.



NUDA, CZY DOBRA ZABAWA Joanna Wasik

Moja koleżanka często mówiła mi o decoupage – technice ozdabiania różnych przedmiotów wzorami z papierowych serwetek. Niezbyt zaciekawiona prosiłam ją z grzeczności o przybliżenie sprawy. Nuda, myślałam i cierpliwie przeczekiwałam jej okrzyki, że koniecznie musi nauczyć mnie, jak to się robi.

Ja uczyć się nudy nie zamierzałam. Do czasu..., gdy zobaczyłam po raz pierwszy jedno z jej dzieł. No i się zaczęło... Zupełnie straciłam głowę dla nudy. Zaczęłam gromadzić serwetki z zapobiegliwością wiewiórki robiącej zapasy orzechów na zimę, w sklepach przy stojaku z serwetkami dostawałam oczopląsu, sklepy internetowe z akcesoriami do decoupage nie miały dla mnie tajemnic.

Podobno każda „ofiara” decoupage przeżywa te same etapy: od pochłonięcia całej uwagi i sił, poprzez stopniowe wyciszanie, do powrotu do normalności. Słyszałam historię o pewnej pani, której córka zamknęła drzwi od swego pokoju przed jej nosem mówiąc stanowczo: nie mam, u mnie w pokoju nie ma już niczego, co mogłabyś „zdekupażować”.

Gorączka mnie też nie ominęła. Zdobiłam, co się dało, kiedyś z trudem powstrzymałam się od wyciągnięcia ze śmietnika na ulicy butelki o wyjątkowo atrakcyjnym kształcie. W szczycie pasji „zdekupażowałam” nawet wielką, starą szafę trzydrzwiową i komodę, niewiele brakowało, a zabrałabym się za ściany.

Ale wszystko w życiu przemija i dziś na ścianach mam tylko farbę i tapetę... ;)

W SPRAWIE TZW. „HOBBY” Barbara Wizimirska

Może się mylę, ale posiadanie hobby to raczej przywilej mężczyzny, który może oddać się bez reszty swojej pasji. Dlaczego? Bo nie ma na głowie tysiąca uciążliwych obowiązków. Te są przywilejem kobiety - ona (jeżeli jest już żoną, matką babcią itd.) może sobie pozwolić najwyżej na zainteresowania. Czasami, jeżeli mąż szczęśliwie nie ma żadnego hobby.

Po tym wstępie muszę wyznać, że ja sama mam zainteresowania dość banalne: lektura dobrych książek - średnio 72 na rok (policzona!), ogrodnictwo, ubieranie dzianiną latami i płotów. Także polityka, psychologia i przyszłość naszej planety. Najbardziej jednak lubię pisać takie teksty, które bawią mnie po latach. I takie, co się podobają srogim redaktorkom.

Na tym mogłabym skończyć, gdyby nie napad uczciwości. Bo jest taka pasja, którą dzielę z milionami zamężnych kobiet. Nazywa się ta pasja **doskonalenie swojego życiowego partnera**. Motywuje nas do działania, dopóki sił starczy i życia tegoż partnera. Tak się jakoś składa, że po latach, albo nawet zaraz po ślubie, nasz ideał ujawnia słabości i wady. Sądzimy, że dość, aby je poprawił, a będziemy szczęśliwe. Ach te babskie złudzenia! O jakie sprawy chodzi? Otóż z poważnych badań socjologicznych wynika, że chodzi o takie błahości jak rozrzucanie rzeczy osobistych i narzędzi, niezamykanie muszli klozetowej, niedbałość w ubiorze, unikanie fryzjera itp. W miarę upływu czasu pojawiają się poważniejsze powody do pretensji: niesłuchanie lub wyłączanie się podczas „poważnej” rozmowy z żoną, przerywanie po pięciu słowach jej wywodów, zapominanie o rodzinnych świątach, udzielanie zbędnych rad zamiast współczucia. Nie wspomnę już o wielogodzinnym obcowaniu z komputerem. Jest co poprawiać. Skądinąd jednak wiadomo, że zbyt namiętne oddawanie się pasji doskonalenia może się skończyć rozwodem lub przerobieniem męża na pantoflarza. Tego żadna rozumna kobieta nie powinna sobie życzyć, więc jeżeli już musi doskonalić, to z rozwagą, aby nie przegiąć. Pożądane jest zrozumienie, że mężczyzna to jednak inny rodzaj człowieka, a do takiego wniosku zazwyczaj dochodzi się po serii bolesnych doświadczeń.

Gdy mija 50. latów zmagania, rozumna kobieta (to mój przypadek) potrafi już tak sterować swoją pasją, aby życiowy partner przeżył, ale ubolewał nad swoimi niedostatkami, i czasami się postarał. Wiadomo już, że wiele zmienić się nie da, więc tę pasję trzeba sobie dozwalać. W przeciwieństwie do pisania felietonów, wspomnień, czy też strojenia latarni.

Poeeci

Ci poeci
zmuszają ciszę do mówienia
i słowem zwykłym
wydzierają
ukryte ich znaczenia

Listy swe piszą
do nieznanych
ani z nazwiska
ni z imienia
im powierzają
chwile szczęśliwe
i cierpienia

Proces

Zmusić
spłoszone myśli
do wychylenia się
z zakamarków mózgu

Odszukać zgubione słowa
nazwać rzecz
właściwym imieniem

Opisać istotę człowieka
stworzyć go na nowo

Ukazać piękno kamienia
i rozpacz schnącej trawy
napisać
(za Fred Vargas)

Pamięć

Nie zapomina się łatwo
Człowieka
który zamieszkał
w cichym zakątku
pamięci
rozświetlając świat
na kilka chwil
zuchwałym blaskiem
(za Fred Vargas)

Usnęło

Po twym odejściu
wszystko usnęło wokół.
Śpią salaterki, kubki,
drzemie zakurzony
serwis do herbaty.

I ekspres
nigdy się nie spieszy,
żeby wydusić z siebie
pachnącą kawą
kawę.

Tylko słoiki z rozpuszczalną
panoszą się beczelnie.

Namiastka prawdziwego życia

Dlaczego piszą

Dlaczego piszą
te wszystkie
szarady, rebusy,
notatki-zagadki
- nie do zrozumienia
bez znajomości
miejsca i czasu.

Zaszyfrować samotność?
Porozumieć się
z samym sobą?
Uchwycić chwilę,
uwiecznić przemijanie?

Na kogo liczą,
że zrozumie, przeżyje
przez nich przeżyte...

Wierszem łatwiej

Wierszem łatwiej
powiedzieć o sobie.
Trzeba mniej słów
i można mieć nadzieję,
że
nie wszyscy
zrozumieją.

Notatka

Zapisuję siebie
maluję słowami
ranki i zmierzchy
marzenia i klęski
oczarowania
rozzarowania

Wyrzucam po prostu
myśli
z przeciążonego mózgu
i dusza staje się
nieco lżejsza

Julianna

Była jak powietrze
którym się oddycha
nie myśląc o tlenie

była gdy była potrzebna
rodzinie
ludziom
wszystkim

ukrywała
karmiła
ratowała

niezawodna
do ostatniej chwili
myśląca o innych
moja matka

Jadwiga
Gzymczak

Wiersze z tomiku MYŚLI O PORANKU O ZMIERZCHU, 2010 rok
Wyboru dokonała Mirosława Skoczeń

DEDYKACJA PRAWDĘ CI POWIE... O STEFANII BACZYŃSKIEJ

Ukryta więź

W naszych księgozbiorach pojawiają się szczególnie cenne książki – zawierające dedykacje. Czasami od autora publikacji, nieraz od bliskiej osoby. Te kilka zamieszczonych wyrazów lub zdań nadają książce inny wymiar. Są to wypowiedzi mniej lub bardziej konwencjonalne, ale zawsze dedykacja ożywia relacje międzyludzkie, staje się dodatkowym źródłem informacji o nadawcy i odbiorcy.

Wśród miniatur słowa pisanego

Prawdziwymi perełkami wśród dedykacji są te zapisane piórem lub długopisem, często pozbawione oficjalnego charakteru. Nierzadko dedykacja odręczna jest opatrzona datą, obok której pojawia się nazwa miejscowość. Są to dodatkowe informacje, nie wspominając o treści i charakterze pisma.

Odkrywanie tajemnic

Dzięki dedykacjom możemy lepiej poznać biografię Stefani Baczyńskiej (1890-1953), matki Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Warto popatrzeć na tę postać nie tylko przez pryzmat życia wybitnego syna. Stefania Baczyńska reprezentuje formację kobiet – wychowanych w duchu idei pozytywistycznych, dobrze wykształconych. Ich dzieciństwo i wczesna młodość przypadają

na czas zaborów. Już wtedy ujawnia się ich zaangażowanie, sprzeciw wobec rusyfikacji, biorą udział w strajkach szkolnych. W wieku dojrzałym (w czasach II RP) realizują się nie tylko jako matki, ale zawodowo. Często są działaczami oświatowymi, nauczycielkami lub wykonują inne zawody typowo inteligentkie. Doświadczają okrucieństw II wojny światowej, ale biorą udział w walce z okupantem (na przykład prowadzą tajne komplety, pomagają w ukrywaniu Żydów). Po 1945 roku mają 50 lub 60 lat, ale nadal są czynne zawodowo (z ogromnym potencjałem wiedzy i doświadczeń) – chętne do odbudowy kraju, lecz w różny sposób szukanowane przez nową władzę ze względu na swoje przedwojenne inteligentkie pochodzenie. Przeżyły dwie wojny światowe, zabory i okupację, następnie czasy PRL-u, zachowując niezależność myślenia oraz poczucie obowiązku wobec kraju.

Bukiet dedykacji

W zestawieniu dedykacji (odręcznych) można znaleźć książki dedykowane Stefani przez męża Stanisława (1890-1939) – publicystę, krytyka literackiego i wiersze syna Kamila Krzysztofa (1921-1944). Zachowały się też dedykacje Baczyńskiej umieszczone w jej publikacjach oraz dziełach napisanych przez innych autorów,

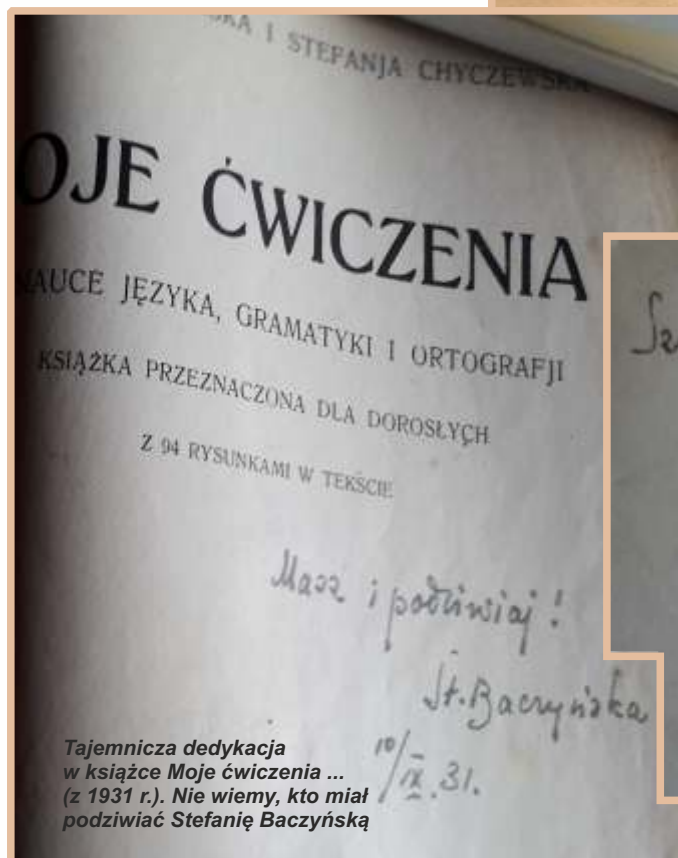
które Stefania podarowała różnym osobom. Zapisy są dość krótkie, ale najważniejszy jest kontekst i treść dedykacji.

Czułość ukryta w epitetach

Ile uroku ma odręczny wpis, można zauważyć, porównując dedykację wydrukowaną w książce Stanisława Baczyńskiego *Miecz i korona. Myśli o duszy polskiej* – „Poświęcam żonie. D. 24.XII. 1915.” a kilkoma słowami zapisanymi w dziele *Literatura Polski porzoborowej XIX i XX wieku* – „Małej, biednej Stefci od Stacha. 1918.”. Czułość i miłość zawarta jest w tych dwóch epitetach („małej, biednej”) odzwierciedlających trudną sytuację Baczyńskiej i zrozumienie ze strony męża. Stefania już dużo przeżyła od ślubu ze Stanisławem (w 1912 roku). Młodzi małżonkowie często musieli się rozstawać, burzliwa druga dekada XX wieku nie sprzyjała pogłębianiu więzi rodzinnych.

Baczyński był związany z ruchem socjalistycznym i niepodległościowym. Przed wybuchem I wojny światowej wstąpił do Związku Strzeleckiego. Prowadził działalność dywersyjną i wywiadowczą na terenie Rosji. Z tego powodu jesienią 1914 r. został aresztowany, ale uciekł z więzienia i przedostał się na front, do Legionów

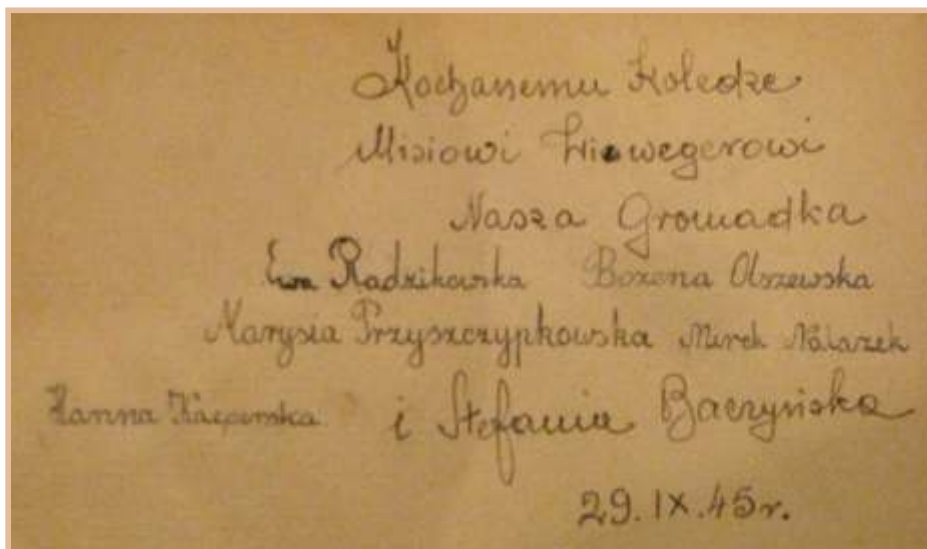
Tef, która go zwała od dziecka,
tef, z którą mieszyłam czas pości,
kochanej mojej Kaidzi
Baczyńska
3.VI.1947.



Tajemnicza dedykacja
w książce *Moje ćwiczenia* ...
(z 1931 r.). Nie wiemy, kto miał
podziwiać Stefanię Baczyńską

Szanownemu Panu
Leopoldowi Staffowi
od matki autora
18/XII.47.

Dedykacja dla W. Dewitzowej i Leopolda Staffa zamieszczona
w *Śpiewie z pożogi*



Polskich. Początkowo był w sztabie I Brygady, później w I Pułku Ułanów pod dowództwem Władysława Zygmunta Beliny – Prażmowskiego. Został ranny w walkach nad Stochodem. Po rekonwalescencji, należąc do Polskiej Organizacji Wojskowej, kontynuował działalność dywersyjną. W 1918 r. powrócił do wojska.

Na pewno Stefania Baczyńska obawiała się o życie męża, ale doświadczyła innych nieszczęść. Przed pojawieniem na świecie syna Krzysztofa (w styczniu 1921 r.), umarła w niemowlęctwie (wcześniej urodzona) córka Kamila. Wiadomo, że Baczyńska też kilka razy poroniła. Mimo trudnej sytuacji w lipcu 1918 r. ukończyła Kurs Pedagogiczny dla Nauczycieli Szkół Elementarnych z wynikiem bardzo dobrym. Wszystkie te wydarzenia z życia Baczyńskiej zasługiwały na współczucie i miłość dla „małej biednej Stefy”.

„Uroczy” Stach

Inna dedykacja, zamieszczona w książce autorstwa Stanisława Baczyńskiego, *Prawo sądu*, może budzić mieszane uczucia – „Smarkatej Stefcy Stach/ Warszawa 21.10.1929”. Baczyńscy byli już małżeństwem po przejściach. Latem 1921 r. Stefania z małym Krzysztofem opuściła męża i wyjechała do Białegostoku, pracowała tam rok jako nauczycielka. Powróciła do Warszawy, ale mieszkała u matki. W 1925 r. Baczyński udał się do Paryża, a potem na Bliski Wschód. Dwa lata nie widział żony i syna. W jego życiu pojawiła się nowa partnerka. Stefania też miała przelotny romans. W 1933 roku małżonkowie zdecydowali się ponownie na wspólne życie.

W takim kontekście epitet „smarkata” ma chyba negatywny wydźwięk. Stanisław Baczyński był dość apodyktyczny i często złośliwy. Powyższa dedykacja może świadczyć o poczuciu wyższości. Z wiekiem też Baczyńska straciła swój piękny głos (jako młoda dziewczyna była ceniona za niezwykły śpiew). Stawał się on (jak wspominają znajomi) „bardziej nosowy”. Może stąd określenie „smarkata”.

W *Matki Wielkich Polaków* Barbara Wachowicz uważa, że powyższa de-

dykacja miała charakter żartobliwy i świadczy o załagodzeniu stosunków między małżonkami. Dlaczego jednak dwie kartki w tym egzemplarzu nie zostały rozcięte? Czy Baczyńska wcześniej już przeczytała tę książkę? Może jednak poczuła się urażona? Małżonkowie pogodili się kilka lat później. Inna dedykacja zamieszczona w *Literaturze w ZSRR* autorstwa Stanisława Baczyńskiego chyba świadczy o ociepleniu stosunków: „Stefuni od Stacha/Warszawa 16.X.1932”. Dopiero w 1933 r. małżonkowie mieszkają razem przy Wspólnej, jesienią przeprowadzają się do trzypokojowego mieszkania przy ulicy Wiktorskiej, a kilka lat później do bloku przy ulicy Hołówny.

Dowcipna Stefania

Mimo burzliwego życia rodzinnego Stefania Baczyńska nie tylko była nauczycielką, ale i pisała: podręczniki, bajki, opowiadania dla dzieci, artykuły dotyczące edukacji. Tłumaczyła teksty z języka niemieckiego oraz rosyjskiego na język polski. W jej bogatej spuściźnie znajduje się dedykacja, która świadczy, że odznaczała się dystansem wobec siebie i była dowcipną osobą (jak wspomina Zbigniew Baczyński, stryjeczny brat Krzysztofa).

W podręczniku, który Baczyńska napisała z Stefanią Chyczewską, *Moje ćwiczenia w nauce języka, gramatyki i ortografii: książka przeznaczona dla dorosłych*, jest zapisana dedykacja: „Masz i podziwiał/St. Baczyńska/ 10.IX.31”. Podręcznik miał pomóc analfabetom poznać słowo pisane. Zawiera proste historie, pytania dotyczące tekstu, ale także wskazówki na przykład interpunkcyjne. Brak niestety adresata dedykacji. Na pewno obdarowana osoba musiała mieć poczucie humoru i była blisko związana z Baczyńską, o czym świadczy bezpośredni zwrot „masz”. Rozkaz „podziwiał” ma wydźwięk ironiczny, jest skierowany do osoby, która prawdopodobnie знаła wcześniejsze różnorodne publikacje Baczyńskiej.

Miłość niejedno ma imię

Czasami dedykacje uwypuklają złożone relacje. Do takich na pewno należy zachowanie Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i jego matki po 1 grudnia 1941 r., kiedy poeta poznał swoją przyszłą żonę Barbarę Drapczyńską.

Rzadko się jednak wspomina o wcześniejszej wielkiej miłości Baczyńskiego. Jego wybranką była Anna Żelazny. W 1937 r. Baczyński poznał ją na wakacjach w Jugosławii. Latem 1940 r. pojechał do ukochanej, która mieszkała w Jasle, i oświadczył się. Rodzice Anny nie wyrazili zgody na ślub, prawdopodobnie powodem był młody wiek obojga zakochanych.

W *Poemacie o Chrystusie Dziecięcym* Baczyńskiego widnieje dedykacja: „Matce i Annie – dwu najpiękniejszym chrześcijanom poświęcam ten poemat”. Utwór pojawił się w grudniu 1940 roku. Powyższy tekst jest zapisany na maszynie do pisania, ale imię i nazwisko „Krzysztof Baczyński” odręcznie. Rzeczywiście Stefania Baczyńska (trudno dokładnie określić od kiedy) stała się gorliwą katoliczką, osobą religijną, o czym może świadczyć przestrzeganie nad wyraz rygorystycznie postu w każdy piątek. Czy matka poety cieszyła się z tej podwójnej dedykacji? Mając dokładniejsze wiadomości o jej negatywnym stosunku do Barbary Drapczyńskiej, można przypuszczać, że chyba nie była zadowolona z umieszczenia imienia Anny.

W listopadzie 1942 r. Baczyński ponownie zastosował podwójną dedykację w „pierwszym kodeksie” (zeszycie zawierającym liryki z lat 1939-1942): „Wiersze te poświęcam Matce i Basi, żonie mojej”. Należy pamiętać, że od połowy września tego roku Stefania Baczyńska mieszkała w Aninie. Wyprowadziła się z Warszawy, ponieważ nie mogła się porozumieć z synową. Trzeba jednak zauważyć, że po opuszczeniu stolicy relacje między młodymi małżonkami a Stefanią stopniowo ulegały poprawie. Czy ta podwójna dedykacja miała już inny wydźwięk niż pierwsza? Poeta wszystkie, według niego, najlepsze teksty dedykował dwóm kobietom, kochającym go bezgranicznie.

Po stworzeniu „pierwszego kodeksu” Stefania Baczyńska ofiarowała synowi stustronicowy notes, w którym pojawiła się następująca dedykacja: >>Doskonałemu poecie, najlepszemu Synowi, radości moich oczu, chlubię mego serca, który mimo to jest krwią z krwi mego serca i kością z kości mnie – niedoskonałej tę „rzecz ziemską” na Gwiazdkę daję – S.B. 24. XII. 42 r.<<. W tym notesie Baczyński zapisywał swoje wiersze z lat 1942-1944, tworząc „kodeks drugi”. Powyższe słowa świadczą o niezwykłej miłości i uwielbieniu syna, poczuciu dumy z powodu bycia matką wybitnego człowieka oraz niezwykłej skromności – są to skrajne uczucia, ale ukazujące osobowość Baczyńskiej.

Nasuwa się jeszcze jedna refleksja – na początku „kodeksu drugiego” poeta nie zapisał dedykacji, na przykład dla matki i żony. To nie jednak nie wyklucza faktu, że poemat *Serce jak obłok* dedykował w sierpniu 1941 r.: „Najdroższej Matce...”, a w czerwcu 1943 r.: „Mojej ukochanej Basieńko, ten poemat, który był pierwszą przyczyną naszego poznania, a w konsekwencji – dalszych wiadomych następstw, w rocznicę naszego ślubu ofiarowuję/Mąż”. Egzemplarz dla Barbary ma bajeczną okładkę i ciekawą ilustrację wykonaną przez poetę. Ponoć panna Drapczyńska (po przeczytaniu poematu w 1941 r.) zafascynowana tym utworem zapragnęła poz-

nać autora tekstu. Był to przyczynek do znajomości, która zakończyła się ślubem. W tym kontekście nie dziwi dedykacja na egzemplarzu z 1943 roku. Czy matka wiedziała o zmianie adresatki poematu?

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Baczyńskiemu. Od wczesnej młodości poświęcił matce wiele utworów. Na przykład w 1943 r. z okazji imienin Stefanii przygotował tomik zwany *Zeszyt 1943*. Nie tylko napisał wiersze, ale także wykonał okładkę oraz ilustracje. Zamieścił dedykację: „Najdroższej Matce w dniu 2 września 43r. /Krzysztof”. W tomiku znajduje się wiersz *Cień z obozu*, który jest ważny dla zrozumienia relacji matki z synem.

Anińskie dedykacje z 1947 roku

Po wojnie Stefania Baczyńska dbała o spuściznę poety. W Aninie przygotowała pierwsze bogate wydanie jego dzieł, zawierające 129 utworów. W wyborze tekstów i redakcji pomagał Baczyńskiej wybitny historyk literatury Kazimierz Wyka. Latem 1947 r. został wydany tomik *Śpiew z pożogi*, którym Baczyńska obdarowała prawdopodobnie wiele osób. Niektórzy obdarowani byli luminarzami literatury. Matka poety korespondowała z wieloma literatami, zachowała się korespondencja z Jarosławem Iwaszkiewiczem, Jerzym Andrzejewskim, Tadeuszem Różewiczem i dedykacja w egzemplarzu *Śpiewu z pożogi*: „Szanownemu Panu Leopoldowi Staffowi od matki poety/17.XII.47”.

Oficjalna dedykacja znajduje się w egzemplarzu księdza, który udzielił ślubu Barbarze i Krzysztofowi: „Wielebnemu Księdzu Dziekanowi Ludomirowi Lissowskiemu z wyrazami głębokiej czci Stefania Baczyńska /14.VI.47”. Ta atencja wobec duchownego mogła wynikać z faktu, że ks. Lissowski zajmował się szeroko pojętą działalnością społeczną i patriotyczną, szczególnie w czasie II wojny światowej, narażając swoje życie.

Tomiki wierszy Baczyńskiego otrzymały osoby bliskie Krzysztofowi oraz Barbarze, o czym świadczą dedykacje: Juliuszowi Bogdanowi Deczkowskiemu - „... towarzysowi i przyjacielowi mojego syna” (z któ-

rym Baczyński był w konspiracji), Jadwidze Klarnerównie – „przyjaciółce mych dzieci” (należy zwrócić uwagę, że w tej dedykacji Baczyńska mianem „swych dzieci” obdarza Krzysztofa i Barbarę). Stefania zostaje strażniczką pamięci poety i jego żony.

Wśród osób posiadających *Śpiew z pożogi* są mieszkańcy Anina. Zofia i Zbigniew Radzikowscy, wspierający Baczyńską w czasie wojny i w trudnych latach powojennych, zostali obdarzeni tomikiem z zapisem „moim najdroższym Przyjaciółom”. Pełna uczuć jest dedykacja w tomiku, który otrzymała Wanda Dewitzowa (wybitna germanistka) – przyjaciółka Baczyńskiej od czasów nauki na prywatnej pensji (przy ulicy Wiejskiej). W czasie II wojny światowej brały one udział w tajnym nauczaniu, później pracowały w Samorządowym Gimnazjum i Liceum w Aninie.

Dedykacja jest bardzo wymowna: „Tej, która Go znała od dziecka, tej z którą przeżyłam czas pożogi, kochanej mojej Wandzi/ S. Baczyńska/ 3.VI.1947.”. Można wywnioskować, że Wandę Dewitzową i Stefanię Baczyńską łączyły trudne doświadczenia, a ich przyjaźń przetrwała przez kilkadziesiąt lat. Pozostało wiele innych dowodów świadczących o bliskich relacjach tych dwóch kobiet.

Nie tylko Krzysztof

Stefania Baczyńska, pomimo śmierci syna, nadal uczyła, z zaangażowaniem wykonywała swoje obowiązki. O ciepłych relacjach może świadczyć zapis w książce autorstwa Anny Lewickiej *Z naszych pól i lasów* podarowanej uczniowi z Anina. Przytoczona dedykacja i podpisy są może autografami dziadków obecnych mieszkańców osiedla: „Kochanemu Koledze Misiowi Wiwegerowi Nasza Gromadka/ Ewa Radzikowska, Bożena Olszewska, Marysia Przyszczypkowska, Mirek Nalazek, Hanna Kacperska i Stefania Baczyńska/ 29.IX.45 r.”. Tekst jest zapisany przez Baczyńską, ale uczniowie podpisali się osobiście. Na wieki zostali uwiecznieni wychowankowie pani Stefanii. Zdrobnienie imienia, wyrażenie „nasza gromadka” emanuje niezwykłą życzliwością.

Na marginesie poszukiwań

Pojawia się jeszcze jeden aniński wątek. Wiele egzemplarzy z dedykacjami znajduje się w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. Ofiarodawcami jest, wspomniana wcześniej, rodzina Radzikowskich, której Stefania Baczyńska zapisała część cenniejszych przedmiotów w testamentcie. Niektóre z nich, między innymi książki, zostały przekazane do muzeum przez Zofię i Zbigniewa w latach siedemdziesiątych, a w latach osiemdziesiątych przez ich córkę Ewę – dawną uczennicę Stefanii Baczyńskiej. W magazynie Muzeum Literatury (przy ulicy Trawiastej) znajduje się egzemplarz *Śpiewu z pożogi* z dedykacją Stefanii Baczyńskiej dla Leopolda Staffa. Dziwny, ale dobry zbieg okoliczności, że tomik redagowany przez matkę poety, która mieszkała przy ulicy Królewskiej, obecnie Kajki, powrócił do Anina. Egzemplarz *Śpiewu z pożogi* z dedykacją odkrywa przed nami mniej znane fakty z życia Stefanii Baczyńskiej.

Wojciech Adamczyk



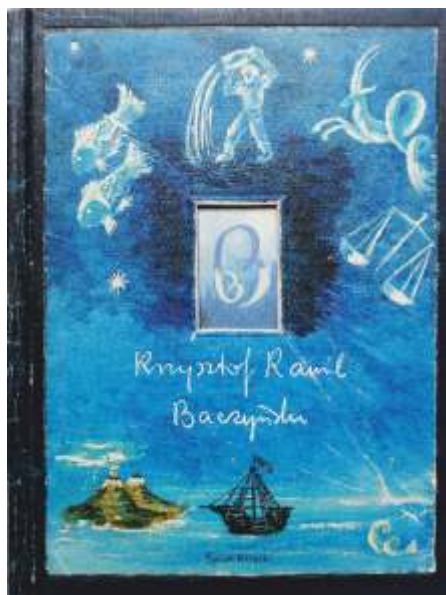
fol. Krzysztof Wellman



Kamienica przy Pszenicznej 19 była niegdyś niezwykle reprezentacyjna. Parę lat przed pierwszą wojną światową zbudował ją w ślubnym prezencie dla swojej drugiej, młodziutkiej żony, Ireny, zamożny przedsiębiorca, Nataniel Konowajew. Podstawowym elementem zdobniczym były konie, ich głowy, kopyta i całe sylwetki, a także podkowy, siodła i lance. Nic dziwnego - Konowajew zbił fortunę na dostawach dla carskiej kawalerii. Dziś niewiele pozostało ze świetności prezentu zachowanego biznesmena, ale dzięki niedawnemu remontowi, podczas którego opakowano budynek styropianowym ociepleniem, pod którym ukryto resztki ozdób, kamienica prezentowała się nie najgorzej. Szczególnie wrażenie robiła klatka schodowa z ocalałymi misternymi mozaikami, marmurowymi schodami i żeliwnymi barierkami w motywy roślinne, które zwieńczone było solidnymi, dębowymi poręczami.

Latem panował na klatce przyjemny chłód, który doceniał wracający z pracy Piotr Czerkas, dwudziestoosmioletni właściciel prężnie rozwijającej się firmy programistycznej. Sukces zawodowy był na tyle duży, że umożliwił wzięcie kredytu na zakup dużego mieszkania na drugim piętrze. I dawał nadzieję na rychłą spłatę zobowiązań.

Czerkas wchodził na pierwsze piętro. Przyjemność z powrotu do domu zburzyły mu odgłosy awantury. Dochodziły jak zwykle z drugiego piętra, z mieszkania naprzeciwko mieszkania Piotra. Te awantury nasiliły się, odkąd Zenon Tomczak wyszedł z więzienia. Wprawdzie Jolanta Tomczak rozwiodła się dwa lata temu, ale były mąż odwiedzał ją pod pretekstem wspólnej opieki nad dziećmi, a że najczęściej przychodził pijany, wizyty kończyły się wyrzutami, scenami zazdrości, a w końcu biciem kobiety i stających w obronie matki małych synów. Piotr kilkakrotnie widział Jolantę Tomczak posiniaczoną, z podbitymi oczami i zaschniętą krwią na rozciętych wargach. Była atrakcyjną kobietą, ledwie po trzydziestce, z którą życie obchodziło okrutnie. Nie pomagały interwencje policji i straży miejskiej, odwiedziny dzielnicowego i pracowników z ośrodka pomocy społecznej. Tomczak lekcewał prawo, negocjował rozwód, do którego doszło, gdy się-



Tomik wierszy *Serce jak obłok*

dział za kratkami. Krzyczał, że przysięgi złożonej w kościele nie można złamać i Jolanta jest nadal jego żoną, bo Bóg tak przykazał.

Podobne teksty padały i teraz zza drzwi mieszkania numer 11. Na piętrze stała zaniepokojona starsza pani, Helena Polesińska, właścicielka mieszkania numer 10. Tuliła małego pieska, który groźnie powarkiwiał w odpowiedzi na głośne krzyki.

- No niech pan zobaczy, panie sąsiedzie, kobiecina nigdy nie zazna spokoju. Ten pijak ciągle tu przyłazi, wrzeszczy, awanturuje się... Dzieciaki płaczą, małe to jeszcze, do przedszkola ledwo chodzą, a już tyle razy zaznały twardej ręki tego chama!

- Pani Heleno, trzeba wezwać policję, my tu nic nie możemy zrobić – Czerkas sięgnął po komórkę. Polesińska spojrzała na niego rozzaczarowana.

- Nie ma już teraz mężczyzn, którzy stanęliby w obronie kobiety... Czerkas nie zdążył nic odpowiedzieć, bo drzwi mieszkania numer 11 nagle się otworzyły i stanął w nich Tomczak. Miał prawie dwa metry wzrostu, szerokie bary i twarz czerwoną od alkoholu. Krzyczał w stronę mieszkania.

- Jeszcze, zdziro, przyjdiesz do mnie w łaski! Będiesz chciała, będziesz błagała, żebym wrócił, żebym cię przeleciał, ale takiego dostaniesz, takiego! – zakończył zdanie wulgarnym gestem. Polesińska cofnęła się przestraszona, za to piesek zaczął szczekać zajadle. Tomczak odwrócił się w stronę zwierzęcia.

- A co to, kurwa, teatr? Ucisz, krowo, tego psa, bo mu łeb ukręcę!

- Jak się pan odzywa do kobiety?! – zwrócił mu uwagę Czerkas, ale mocne kopnięcie w krocze przewróciło go na podłogę.

- Nie wpierdalał się, gnoju! – prychnął Tomczak i zbiegł po schodach.

- Panie Piotrusiu – jęknęła Polesińska, pochylając się nad leżącym sąsiadem.

W drzwiach mieszkania ukazała się Jolanta. Krew leciała jej z nosa i rozciętego łuku brwiowego. Zanim zamknęła drzwi, zobaczyła, jak Piotr wymiotuje z bólu.

Pani Helena zadzwoniła po policję, a funkcjonariusze natychmiast wezwali karetkę, która zabrała Jolantę Tomczak do szpitala z podejrzeniem wstrząsu mózgu. Ratownik obejrzał Piotra, poklepał go współczująco po ramieniu i dał zastrzyk przeciwbólowy. Policjanci spisywali zeznania świadków zdarzenia, ale nie dawali nadziei na szybkie rozwiązanie sprawy. Tomczak nie miał stałego adresu, miał za to wielu kumpli z półświatka, a przemoc domowa nigdy nie budziła szczególnego zainteresowania wśród prokuratorów. Obiecali zrobić, co w ich mocy i odjechali.

Parę dni później Czerkas spotkał Jolantę przy śmietniku. Wyrzucał plastikowe butelki po coli i szklane po winie, gdy kobieta weszła z dwoma workami. Była blada, sińce nieco wyblakła, ale rany nie zdążyły się zabielić.

- Dzień dobry – przerwał ciszę Piotr – wypuścili panią ze szpitala? Wszystko w porządku?

- Nie najlepiej, wstrząsu mózgu nie stwierdzili, ale jest wstrząśnienie.

- Ojej, powinna pani leżeć, to ryzykowne.

- Może i tak, ale ktoś się musi zająć dziećmi, wymagają ustawicznej opieki.

- Chętnie pomogę – zaoferował się Piotr.

- Dziękuję, sąsiedzie, ale muszę sobie dać radę sama.

Wyrzuciła śmieci i wyszła, a Czerkas zauważył, że Jolanta ma bardzo ładny uśmiech.

Tego dnia wieczorem siedział długo przy komputerze. Przeglądał oferty sklepów z radiowo sterowanymi zabawkami. Zajrzał też na stronę Castoramy i największego sklepu z akcesoriami wędkarskimi. Po paru godzinach złożył zamówienie. Kurier miał dostarczyć je w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Otworzył butelkę wina i wypił za powodzenie swoich planów.

Tydzień upłynął w miarę spokojnie. Piotr parę razy spotkał Jolantę w sklepie lub na klatce. Z czasem miejsce zdawkowych uprzejmości zajęły nieco serdeczniejsze wymiany zdań. Peszyły ją zanikające siniaki i trudno gojące się rany, ale lubiła rozmawiać z miłym sąsiadem. Dwukrotnie spotkała ich na klatce wracająca ze spaceru z psem Polesińska i po miłym powitaniu uśmiechała się z aprobatą.

W piątek wieczorem Piotr wnosił po schodach karton wina, gdy z mieszkania Jolanty znowu dobiegły odgłosy gwałtownej sprzeczki. Jak najciszej otworzył drzwi swojego apartamentu i z szafy w przedpokoju wyjął kartonowe pudełko. Wyszedł na klatkę. Do żeliwnej poręczy mniej więcej dwadzieścia centymetrów nad ziemią przyklepił mocno taśmą plastikowy przedmiot wielkości dwóch paczek papierosów, z którego wystawała przezroczysta żyłka. Żyłkę ułożył we wgłębieniu między stopniem a podstopniem. Drugi koniec przytłoczył do dużego, starego gwoźdźca, który znalazł na śmietniku i tydzień temu w tajemnicy wbił w ścianę. Żyłka luźno zwisała i była praktycznie niewidoczna. Piotr wrócił do mieszkania i zamknął cicho drzwi. Przywarł do wziernika w drzwiach. Cekał. Awantura przybierała na sile. Po schodach schodzili sąsiedzi z czwartego piętra, sześćdziesięcioletka z brzuszkiem i wymalowana blondynka, która mogła być jego córką. Piotr widział, jak pokręcili głowami z dezaprobatą patrząc na drzwi Jolanty i zeszli niżej.

Minęło kilkadziesiąt sekund. Drzwi otworzył pijany Tomczak, który próbował wyciągnąć z mieszkania opierającego się, zapłakanego malca.

- Pójdiesz, gówniarzu, z tatusiem na spacer! Chcesz, czy nie chcesz, pójdiesz, gnoju, żeby ci tatuś kupił lodę!

Pokrwawiona Jolanta wynurzyła się z głębi mieszkania i chwyciła synka w pól. Za nią krzycząc „Mamusi! Mamusi!”, pojawił się młodszy chłopiec. Tomczak uderzył kobietę pięścią, ale ta nie puściła dziecka.

- Taka jesteś, kurwo, taka?! Nie szanujesz przykazań? Tak wychowujesz mojego syna?! Czuj ojca, powiedziano, czuj! - Wymierzył synowi kopniaka, uderzył Jolantę ponownie, trzask, który się rozległ był prawdopodobnie odgłosem łamanego nosa. Tomczak wepchnął płaczącą kobietę razem z dziećmi do mieszkania i zatrzaskał drzwi. Wyciągnął z kieszeni małą „Żołądkową” i wypił połowę.

- Ja ci dam, mendo, feminizm!

Ruszył w kierunku schodów. Stojący przy wizjerze Piotr nacisnął guzik na pilocie. Wyjęty ze sterowanego radiowo modelu słynnej firmy Himoto, przyczepiony do poręczy moduł uruchomił silniczek na baterię, a ten z kolei błyskawicznie napiął przytwierdzoną do ściany mocną żyłkę Shimano Technium. Tomczak potknął się o niespodziewaną przeszkodę i z rozszereżonymi ze zdziwienia oczami, bezradnie machając rękoma runął z wysokości czternastu schodów na półpiętro. Piotr wyszedł z mieszkania. Tomczak leżał nieruchomo. Mozaikę przedstawiającą podkowę w kwiatkach zasłaniała coraz większa plama ciemnej krwi.

Piotr odczepił żyłkę od gwoźdźca, odlepił moduł z silniczkiem od poręczy, odwrócił się... i z tymi przedmiotami oraz żyłką w ręku natknął się na spojrzenie pani Polesińskiej, która wyjrzała zwabiona hałasem. Chwilę milczeli.

- Zuch! – powiedziała Polesińska i uśmiechnęła się lekko – Chodź do mnie, chłopcze, z tym... wszystkim. Jakby policja pytała, to od obiadu graliśmy w makao. Umiesz grać w makao? No to sobie zagramy, piękny wieczór się zapowiada!

Pomieszczenie POD KAPELUSZEM

Tytułowy stan **pomieszczenia** umysłów wydaje się czymś powszechnym w dobie obecnej pandemii – i to nie tylko w tych głowach, które ozdobione są kapeluszem.

My, ludzie płci rozmaitej, po półrocznym obcowaniu z koronawirusem nie wiemy, jak bardzo trzeba się bać, jak długo będziemy się bać lub czy w ogóle bać się trzeba? Pandemia jest faktem, ale jednak to nie „czarna śmierć”. Więc może da się jej uniknąć? Może nas, naszych krewnych i przyjaciół nie dotknie? Ależ może! Może dotknąć lada chwila, twierdzą mądrale, bo jak ktoś zachoruje, to już zarażał, a jak zarażał, to może i mnie zaraził? Lub kogoś bliskiego?

Niektórzy ratują się wiarą – nie w Boga bynajmniej – tylko w teorie spiskowe. Krążą takie, które głoszą, że pandemia wymyślona po to, aby ludzkość wziąć pod but. Zgony są naturalne, a liczby przesadzone. Kto i po co to robi – w tym punkcie mądrale się różnią i wskazują ogólnie na różne złowrogie siły. Wgłębianie się w odmęty tych teorii może nas prowadzić do jeszcze głębszego **pomieszczenia**, więc zostawmy je wierzącym-przekonanym.

Ci, co się boją lub ufają wirusologom, noszą maseczki i odkażają, co się da. Myją ręce do zdarcia skóry i terroryzują domowników widmem zgonu w męczarniach. Rozmaitość postaw jest tu ogromna – niektórzy boją się tak, że nie wychodzą z domu, zlecając zakupy młodemu z rodziny (ale bez kontaktu). Inni uważają, że nie jest aż tak niebezpiecznie i ryzykują wyjście na zakupy, do kina, a nawet do teatru. Gdy się człowiek rozejrzy po widowni, to pod maskami, po oczach, można rozpoznać różne nastroje – od niepokoju, czy maseczka wystarczy – do pewności, że co ma być, to będzie, a maska to tylko pozory zabezpieczenia. Zgorszenie też możliwe, bo dostarcza też niezamaskowanych ryzykantów.

Co do uczestnictwa w rozrywkach, to zamaskowani mogą mieć lubie poczucie grzeszności. Żarciki z pandemii padają ze sceny, publiczność śmieje się niepewnie,

a potem zastanawia się, czy dobrze robi. Podobna niepewność (choć pomniejsza ją wiara w opatrność Bożą) towarzyszy uczestnictwu w mszy św., ślubach, chrzcinach i pogrzebach. Media nie oszczędzają nam informacji o zakażonych podczas takich uroczystości, a jednak większość ryzykuje. W maseczkach, bez uścisków i pocałunków to się odbywa i jedynie państwo młodzi odczuwają ulgę, bo sprostanie kilkuset całusom (średnio!) wymaga zazwyczaj dużej wytrzymałości.

Skutki pandemii to bynajmniej nie wszystkie utrapienia, jakie na nas spadły w tym fatalnym dwudziestym roku. Mamy przecież okrągłe i nieokrągłe rocznice przypominające o naszej chlubnej i tragicznej przeszłości. Tu też **pomieszczenia** nie brakuje, ale temat jest zbyt gorący, aby wyrażać swoje zdanie. Poczekam, aż minie przynajmniej tyle lat, ile minęło od bitwy pod Grunwaldem.

Mogę natomiast opisać, jak naprawiałam niedawno świat, robiąc na drutach. Pomysł ten zrodził się w głowach młodych Hiszpanek, które przejęły się strasznymi warunkami pracy w fabrykach azjatyckich, gdzie kapitaliści wykorzystują bezrobocie i biedę miejscowych. Rekin kapitału płacą mało, nie dbają o BHP, a produkty sprzedają z dużym zyskiem nam – bogatym. Korzystając z amerykańskich wzorców demonstrowania „z pomysłem”, aktywistki/ści walki z wilczym kapitalizmem umyśliли sobie owinięcie Parlamentu Europejskiego monstrualnym szalikiem wydzierganym przez przeciwników wyzysku. Pomysł dotarł do Polski i podjęło go Muzeum Sztuki Nowoczesnej (Departament Obecności (sic!)). Ogłoszono nabór chętnych do dziergania, zapewniając włóczkę, druty i naukę dziergania oraz poczęstunek, który przybrał kształt placzków czeczeńskich.

Pełna zapalu przybyłam na wyznaczone miejsce przy Muzeum, na bulwarach. Było przepięknie, Wisła w pobliżu, łąki kwiatne też. Okazało się, że walczyć z kapitalizmem będą prawie same młode osoby w liczbie kilkunastu i że walkę mamy zacząć od... zabawy integracyjnej. Polegała ona na trzy-



manii 2 metrów włóczki w kole oraz takim splątaniu, aby wyszedł wzór artystyczny. Ochoczo przeplatałam się pod nitką, ale artyzmu w tym wiele nie było, wkrótce organizatorzy odpuścili i przeszli do meritum. I tu okazało się, że prawie nikt nie umie robić na drutach, więc przez następne trzy godziny trwała żmudna nauka dziergania urozmaicona czytaniem na głos jakiejś okropnej fantastyki, pełnej przemocy. Nie muszę dodawać, że tego nie znoszę, na szczęście obie lektorki zagłuszał głośnik muzeum, który nadawał muzykę towarzyszącą wystawie. Równie okropną jak czytana powieść. Moja wprawa w dzierganiu pozwoliła mi na wysforowanie się przed resztą dziergaczy (byli wśród nich dwaj młodzi mężczyźni, ale szybko wymiękli). Zebrałam liczne wyrazy uznania, które nieco wynagrodziły nieprzyjemne atrakcje. Wielką pociechą było towarzystwo znanej warszawskiej animatorki Ewy Andrearczyk, która szybko nauczyła się dziergać, a ponadto potrafi ciekawie rozmawiać, co jest sztuką na wygnieciu. We dwie wytworzyłyśmy w trzy godziny dzianinę o powierzchni około 0.12 m² w kolorach fioletowym i pomarańczowym i teraz pozostaje tylko pomarzyć, aby ładnie wyglądała na Parlamencie Europejskim i wywierała odpowiednie wrażenie. Wnikliwym czytelnikom, którym projekt wydaje się nieco dziwny, śpieszę wyjaśnić, że zamontowany w dzianinę Parlament ma wywrzeć nacisk na kapitalistów, aby się opamiętali. Amen.

MIEDZY NAMI ANINIANINAMI Redaguje zespół społeczny w składzie:

Jadwiga, Teresa Szymczak (redaktor senior), Barbara Mildner (redaktor naczelna), Dariusz Osiński (redaktor wydania cyfrowego MNA), Agata Gładkowska, Katarzyna Nowak, Grzegorz Samson, Mirosława Skoczeń, Joanna Wąsik, Ksenia Zimna - we współpracy z Oddziałem Anin TPW
Osoby stale współpracujące z redakcją: Wojciech Adamczyk, Piotr Błędowski, Maria Choderek, Jan Czerniawski, Aldona Kraus, Stanisław Latek, Michał Nowacki, Marek Samson, Barbara Wizimirska.

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO
REDAGOWANIA (W TYM SKRACANIA) TEKSTÓW



NIECODZIENNIK - PISMO BEZPŁATNE

Wydawca:

Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Wawer m.st. Warszawy; 04-618 Warszawa, ul. Trawiasta 10
Dział łączności z czytelnikami: ul. Zambrowska 6a m 4, 04-642 Warszawa;
e-mail: b.mildner@O2.pl
Nasz blog: <http://aninski.blogspot.com>

Opracowanie graficzne, skład: Grzegorz Muczek
Druk: ACAD, ul. Sosnowa 34a, 05-420 Józefów, tel. (22) 789-47-89

NAKŁAD: 1000 EGZEMPLARZY



AGATA **GŁADYKOWSKA** FOTOGRAFIA

